

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP, TOM
TRZECI

Henryk Sienkiewicz

Potop, tom trzeci

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23550786

Potop, tom trzeci:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Tom trzeci	4
Rozdział I	4
Rozdział II	18
Rozdział III	30
Rozdział IV	48
Rozdział V	76
Rozdział VI	95
Rozdział VII	123
Rozdział VIII	141
Rozdział IX	160
Конец ознакомительного фрагмента.	165

Henryk Sienkiewicz

Potop, tom trzeci

Tom trzeci

Rozdział I

W czasie gdy w Rzeczypospolitej wszystko, co żyło, siadało na koń, Karol Gustaw bawił ciągle w Prusach, zajęty dobywaniem tamtejszych miast i układami z elektorem.

Po łatwym i nadspodziewanym podboju bystry wojownik wprędce się opatrzył, iż szwedzki lew pożarł więcej, niż trzewia jego znieść zdołają. Po powrocie Jana Kazimierza stracił nadzieję utrzymania Rzeczypospolitej, lecz wyrzekając się w duszy całości, chciał przynajmniej jak największą część zdobyczy zatrzymać, a przede wszystkim Prusy Królewskie, prowincję do jego Pomorza przyległą, żyzną, wielkimi miastami usianą, bogatą.

Lecz ta prowincja, jak pierwsza zaczęła się bronić, tak dotychczas stała wytrwale przy dawnym panu i Rzeczypospolitej. Powrót Jana Kazimierza i rozpoczęta przez konfederację tyszowiecką wojna mogły pruskiego ducha ożywić, w wierności go utwierdzić, do wytrwania zachęcić, postanowił

więc Karol Gustaw skruszyć powstanie, zetrzeć Kazimierzowe siły, by Prusakom nadzieję pomocy odjąć.

Musiał to uczynić i ze względu na elektora, któren¹ z mocniejszym zawsze trzymać był gotów. Król szwedzki poznał go już do gruntu, bo ani chwili nie wątpił, że jeśli Kazimierzowa fortuna przeważy, elektor po jego stronie znowu stanie.

Gdy więc oblężenie Malborka szło tępo, bo im go potężniej dobywano, tym go potężniej pan Wejher bronił, ruszył Karol Gustaw do Rzeczypospolitej, aby Jana Kazimierza na nowo, choćby w ostatnim jej krańcu, dosięgnąć.

A że czyn po postanowieniu następował u niego tak prędko, jak właśnie grzmot po błyskawicy, podniósł więc wojska leżące przy miastach i nim się kto w Rzeczypospolitej opatrzył, nim wieść się o jego pochodzie rozeszła, on już minął Warszawę i w największe płomienie pożaru się rzucił.

Szedł więc do burzy podobny, gniewem, zemstą i zawziętością trawiony. Dziesięć tysięcy koni tratowało za nim pola jeszcze śniegiem pokryte, a piechoty z prezydiów² podnosił i szedł razem z wichrem, aż hen! ku południowi Rzeczypospolitej.

Po drodze palił i ścinał. Nie był to już ów dawny *Carolus Gustavus*, pan dobry, ludzki i wesoły, klaszczący w dłonie jeździe polskiej, mrugający oczyma przy ucztach i schlebiający żołnierzom. Teraz, gdzie się ukazał, płynęła potokiem krew

¹ *któren* – dziś popr. który. [przypis edytorski]

² *prezydium* (z łac. *praesidium*) – straż, zbrojna załoga. [przypis edytorski]

szlachecka i chłopska. Po drodze ścierał partie³, jeńców wieszał, nikogo nie żywił⁴.

Ale jak gdy wśród gęszczy borów potężny niedźwiedź niesie swe ciężkie cielsko, krusząc po drodze krze i gałęzie, wilcy zaś idą w trop za nim i nie śmiąc mu drogi zastąpić, coraz bliżej następują nań z tyłu, tak i owe partie ciągnęły za armią Karola, w coraz ciaśniejsze łącząc się gromady, i szły za Szwedem, jako cień idzie za człowiekiem, i wytrwalej jak cień, bo we dnie i w nocy, w pogodę i w niepogodę; przed nim zaś psuto mosty, niszczone zapasy, że musiał iść jak w pustynię, nie mając głowy gdzie schronić lub się w głodzie czym pokrzepić.

Sam Karol Gustaw wprędce pomiarkował, jak straszne jest jego przedsięwzięcie. Wojna rozlewała się naokół niego tak szeroko, jak morze rozlewa się naokół zabłąkanego wśród roztoczy okrętu. Gorzały Prusy, gorzała Wielkopolska, która pierwsza poddaństwo przyjąwszy, pierwsza chciała szwedzkie jarzmo zrzucić, gorzała Małopolska i Ruś, i Litwa, i Żmudź⁵. W zamkach i w wielkich miastach, niby na wyspach, trzymali się jeszcze Szwedzi, zresztą wsie, bory, pola, rzeki były już w polskim ręku. Nie tylko człowiek, nie tylko mniejszy podjazd, ale i pułk cały nie mógł się od głównej szwedzkiej siły ani na dwie godzin odłączyć, bo zaraz przepadał bez wieści, a jeńcy, którzy wpadli w chłopskie ręce, umierali w mękach straszliwych.

³ *partia* – tu: oddział. [przypis edytorski]

⁴ *żywić* – tu: pozostawiać przy życiu, darować życie. [przypis edytorski]

⁵ *Żmudź* – płn.-zach. część Litwy. [przypis edytorski]

Próżno Karol Gustaw po wsiach i miastach ogłaszać kazał, iż który chłop zbrojnego szlachcica żywcem lub umarłego dostawi, wolność na wieczne czasy i ziemię w nagrodę otrzyma, chłopci bowiem po równi ze szlachtą i mieszcza⁶ wyciągnęli do lasów. Lud z gór, lud z puszczy głębokich, lud z ługów i pól tkwił w lasach, czynił zasieki Szwedom po drodze, napadał na mniejsze prezydja, wycinał w pień podjazdy. Cepy, widły i kosy nie gorzej od szlacheckich szabel opłynęły krwią szwedzką.

Tym bardziej zaś gniew wzbierał w sercu Karola, że przed kilkunastu miesiącami tak łatwo ten kraj ogarnął, więc prawie nie mógł pojąć, co się stało, skąd te siły, skąd ten opór, skąd ta wojna straszna na śmierć i życie, której końca przed sobą nie widział i odgadnąć go nie umiał.

Częste też bywały narady w obozie szwedzkim. Szli z królem: brat jego Adolf, książę baponcki, komendę nad wojskiem mający, Robert Duglas⁷, Henryk Horn, krewny tego, który pod Częstochową był kosą chłopską usieczon, Waldemar, graf duński – i ów Miller⁸, który u stóp Jasnej Góry sławę swą bojową

⁶ *mieszcza*ny – dziś popr. forma N. lm: mieszczanami. [przypis edytorski]

⁷ *Duglas* – Douglas, Robert (1611–1662), Szkot, od 16 r. życia żołnierz armii szwedzkiej, feldmarszałek, uczestnik wojny trzydziestoletniej. Podczas potopu szwedzkiego dowodził wojskami szwedzkimi w Prusach Książących. Za zasługi wojenne otrzymał tytuł hrabiego, a jego potomkowie stali się jednym z najbogatszych rodów arystokratycznych Szwecji. [przypis edytorski]

⁸ *Miller* – Burchard Müller von der Lühnen (1604–1670), szwedzki wojskowy, generał, uczestnik m.in. wojny trzydziestoletniej, II wojny północnej i wojny polsko-szwedzkiej. [przypis edytorski]

zostawił, i Aszemberg w prowadzeniu jazdy między Szwedami najbieglejszy, i Hammerszyld, który armatami zawiadował, i stary zbój, marszałek Arfuid Wittenberg⁹, ze zdzierstw swych sławny, a ostatkiem zdrowia goniący, bo przez galicką chorobę toczon¹⁰ – i Forgell, i wielu innych – a wszystko wodzowie biegle w zdobywaniu miast i w polu królowi tylko samemu jeniuszem ustępujący.

Ci tedy lękali się w sercach, aby całe wojsko z królem nie przepadło, przez trudy, brak żywności i zaciekłość polską zmorzone. Stary Wittenberg wprost odradzał królowi pochód. „Jakże to, królu – mówił – będziesz zapuszczał się aż w ruskie kraje za nieprzyjacielem, który niszczy wszystko po drodze, sam niewidzialnym pozostając? Co uczynisz, jeśli koniom nie tylko siana i owsa, ale nawet strzech z chałup zbraknie, a ludzie z niewywczasów popadają? Gdzie są owe wojska, które w pomoc nam przyjadą, gdzie zamki, w których moglibyśmy odżywić się i strudzonym członkom dać folgę? Nie równam się z twoją, panie, sławą, ale gdybym był Karolem Gustawem, właśnie bym tej sławy, tak wielkimi zwycięstwami nabytej, na zmienne koleje wojny nie wystawiał.”

Na to odpowiadał Karol Gustaw:
– I ja, gdybym był Wittenbergiem.

⁹ *Wittenberg* – Arvid (a. Arfuid) Wittenberg von Debern (1606–1657), szwedzki hrabia i feldmarszałek, uczestnik wojny trzydziestoletniej i potopu szwedzkiego. [przypis edytorski]

¹⁰ *przez galicką chorobę toczon* – chory na chorobę weneryczną. [przypis edytorski]

Po czym Aleksandra Macedońskiego wspominał, z którym lubił być porównywany, i szedł naprzód, goniąc pana Czarnieckiego; ten zaś, nie mając sił tak wielkich ani ćwiczonych, umykał się przed nim, ale umykał jak wilk, gotów zawsze się zwrócić. Czasem też szedł przed Szwedami, czasem po bokach, a czasem, zapadłszy w głuchych lasach, puszczał ich naprzód, tak iż oni myśleli, że jego gonią, a on właśnie szedł za nimi, wycinał opieszających, tu i ówdzie uszczknął cały podjazd, znosił idące wolniej pułki piesze, napadał na wozy z żywnością. I nigdy Szwedzi nie wiedzieli, gdzie jest, z której strony uderzy. Nieraz w zmrokach nocnych rozpoczynali ogień z armat i muszkietów do zarośli, sądząc, że nieprzyjaciela mają przed sobą. Nużyli się śmiertelnie, szli w chłodzie, głodzie i zmartwieniu, a ów – *vir molestissimus*¹¹ – wisiał ciągle nad nimi, jako chmura gradowa wisi nad łanem zboża.

Na koniec dopadli go pod Gołębim, niedaleko ujścia Wieprza do Wisły. Niektóre chorągwie polskie, stojące w gotowości, rzuciwszy się z impetem na nieprzyjaciela, rozniosły postrach i zamieszanie. Więc naprzód skoczył pan Wołodyjowski ze swoją laudańską chorągwią i wsparł¹² królewicza duńskiego Waldemara; zaś pan Kawecki Samuel i młodszy Jan stoczyli z pagórka pancerną chorągiew na najemnych Angielczyków Wikilsona – i w mgnieniu oka pożarli

¹¹ *vir molestissimus* (łac.) – mąż niezmiernie uciążliwy, uprzykrzony. [przypis edytorski]

¹² *wspart* – tu: stał się z nim. [przypis edytorski]

ich, jako szczupak pochłania klenia, zaś pan Maławski zwał się z księciem baponckim tak szczelnie, iż ludzie i konie pomieszali się ze sobą jako kurzawa, którą dwa wichry z przeciwnych stron przyniosą i jeden wir z niej uczynią. W mgnieniu oka zepchnięto Szwedów ku Wiśle, co widząc, Duglas pospieszył swoim z wyborową rajtarią na ratunek. Lecz rozpędu i te nowe posiłki wstrzymać nie mogły; poczęli więc Szwedzi skakać z wysokiego brzegu na łód, padając trupem tak gęsto, że czernili się na śnieżnym polu jako litery na białej karcie. Legł królewicz Waldemar; legł Wikilson, a księżę baponcki, obalon z koniem, nogę złamał – legli wszelako i obaj panowie Kaweccy, i pan Maławski, i Rudawski, i Rogowski, i pan Tymiński, i Choiński, i Porwaniecki, jeden tylko pan Wołodyjowski, chociaż się w szwedzkie szeregi jako nurek w wodę z głową zanurzał, najmniejszej rany nie poniósł.

Tymczasem przyciągnął sam Karol Gustaw z główną siłą i armatami i naówczas zmieniła się postać boju. Inne Czarnieckiego pułki, niekarne i nie wyćwiczone, nie umiały stanąć na czas w ordynku¹³; niektóre koni nie miały pod ręką, inne, po dalszych wsiach leżące, wbrew rozkazom, aby ciągle były w pogotowiu, zażywały wczasu po chatach. Na owe gdy nieprzyjaciół natarł niespodzianie, wnet poszły w rozsypkę i ku Wieprzowi umykać poczęły. Więc pan Czarniecki kazał trąbić na odwrót, aby tamtych pułków, które pierwsze uderzyły, nie wygubić. Jedni poszli tedy za Wieprz, inni do Końskowoli,

¹³ ordynek (z niem. *Ordnung*) – porządek, szyk. [przypis edytorski]

zostawując pole i sławę zwycięstwa Karolowi, gdyż tych zwłaszcza, którzy za Wieprz uchodzili, długo ścigały chorągwie Zbrozka i Kalińskiego, przy Szwedach jeszcze zostające.

Radość była w obozie szwedzkim niezmierna. Niewielkie wprawdzie dostały się Szwedom owego zwycięstwa trofea. sakiewki z owsem i trochę pustych wozów, lecz Karolowi nie o łup tym razem chodziło. Cieszył się, że zwycięstwo szło jak i dawniej, w jego ślady, że ledwo się pokazał, już pogromił – i to samego pana Czarnieckiego, na którym największe nadzieje Jana Kazimierza i Rzeczypospolitej spoczywały. Mógł się spodziewać, że wieść rozbiegnie się po całym kraju, że każde usta będą powtarzały: „Czarniecki zniesion”, iż bojaźliwi rozmiary klęski przesadzą, a przez to zwątlą serca i odbiorą ducha wszystkim, którzy na głos konfederacji tyszowieckiej za broń chwycili.

Więc gdy mu przyniesiono i rzucono pod nogi owe sakiewki owsa, a z nimi razem ciała Wikilsona i Waldemara, on zwrócił się do swych frasobliwych generałów i rzekł:

– Rozmarszczcie ichmościowie czoła, bo to jest największe zwycięstwo, jakim od roku odniósł, i całą wojnę skończyć ono może.

– Wasza królewska mość – odrzekł Wittenberg, który słabszym jak zwykle będąc, czarniej rzeczy widział – dziękujmy Bogu i za to, że pochód dalszy będziem mieć spokojny; chociaż takie wojska jak Czarnieckiego prędko się rozpraszają, ale i prędko zbierają na powrót.

Na to król:

– Panie marszałku! nie mam cię za gorszego wodza od Czarnieckiego, ale gdybym cię tak rozbił, tuszę, że i przez dwa miesiące nie zdołałbyś wojsk zebrać.

Wittenberg skłonił się tylko w milczeniu, a Karol mówił dalej.

– Tak jest, pochód będziemy mieli spokojny, bo tylko jeden Czarniecki mógł go naprawdę tamować. Nie masz wojsk Czarnieckiego, nie masz przeszkód!

Jenerałowie uradowali się tymi słowy. Upojone zwycięstwem wojska przechodziły przed oczyma króla z krzykiem i śpiewami. Czarniecki przestał wisieć na kształt chmury nad nimi. Czarniecki, rozproszony, przestał istnieć! Wobec tej myśli zapomnieli o przebytej mordędze – wobec tej myśli miłe były im przyszłe trudy. Słowa królewskie, które wielu oficerów słyszało, rozniosły się po obozie i wszyscy byli tego mniemania, że zwycięstwo istotnie miało nadzwyczajne znaczenie, że smok wojny na nowo zabity, a jeno czasy pomsty i panowania nastaną.

Król dał wojsku kilkanaście godzin spoczynku; tymczasem od Kozienic przyszły wozy z żywnością. Wojska roztasowały się w Gołębiu, w Krowienikach i w Życzynie. Rajtarowie¹⁴ pozapalali opuszczone domostwa, powieszono kilkunastu chłopów wziętych z bronią w rękę i kilku pacholików wojskowych, których za chłopów poczytano; następnie odbyła się uczta, po niej zaś żołnierstwo zasnęło snem twardym, bo od

¹⁴ *rajtar* – średniozbrojny żołnierz konny, posługujący się w walce głównie bronią palną. [przypis edytorski]

dawna po raz pierwszy spokojnym.

Nazajutrz dzień zbudzili się rześko i pierwsze słowa, jakie napłynęły wszystkim do ust, były:

– Nie masz Czarnieckiego!

Powtarzał to jeden drugiemu, jakby się wzajem chcieli o dobrej nowinie upewnić. Pochód rozpoczął się wesoło. Dzień był suchy, zimny, pogodny. Szerść końska i nozdrza pokrywały się szronem. Zimny wiatr pozmrażał kałuże na trakcie lubelskim i drogę uczynił dobrą. Wojska wyciągnęły się niemal milowym węzłem, czego przedtem nie czyniły nigdy. Dwa pułki dragońskie pod wodzą Francuza Dubois poszły na Końskowolę, Markuszew i Garbów w mili od głównej siły. Gdyby tak szły przed trzema jeszcze dniami, szłyby na pewną śmierć, lecz teraz poprzedzał je postrach i sława zwycięstwa.

– Nie masz Czarnieckiego! – powtarzali sobie oficerowie i żołnierze.

Jakoż pochód odbywał się spokojnie. Z głębin leśnych nie dochodziły okrzyki, z zarośli nie wypadały groty puszczone niewidzialnymi rękami.

Pod wieczór Karol Gustaw przybył do Garbowa, wesół i w dobrym humorze. Już właśnie zabierał się do spoczynku, gdy Aszemberg dał znać przez służbowego oficera, że chce się pilno widzieć z królem.

Po chwili wszedł do kwatery, i nie sam, ale z kapitanem dragońskim. Król, który miał oko bystre i pamięć tak niezmierną, że wszystkich niemal żołnierzy imiona pamiętał,

poznał zaraz kapitana.

– A co nowego, Freed? – spytał. – Dubois wrócił?

– Dubois zabity – odpowiedział Freed.

Król zmieszał się; teraz dopiero zauważył, że kapitan wyglądał, jak gdyby go z grobu wyjęto, i odzież miał poszarpaną.

– A dragoni? – spytał – one dwa pułki?

– Wszystko w pień wycięte. Mnie jednego żywcem puszczono!

Smagle oblicze króla stało się jeszcze ciemniejszym; rękoma założył sobie pukle włosów za uszy.

– Kto to uczynił?

– Czarniecki!

Karol Gustaw umilkł i począł patrzeć ze zdumieniem na Aszemberga, a ten głową tylko kiwał, jakby chciał powtarzać:

– Czarniecki! Czarniecki! Czarniecki!

– Wszystko to niepodobne do wiary – rzekł po chwili król. – Widziałeś go na własne oczy?

– Jako twój majestat, panie, widzę. Przykazał mi pokłonić się waszej królewskiej mości i oświadczyć, że teraz za Wisłę się znów przeprawia, ale wnet tropem naszym pójdzie. Nie wiem, czyli prawdę powiadał...

– Dobrze! – rzekł król. – Siła¹⁵ przy nim ludzi?

– Nie mogłem dokładnie zmiarkować, ale ze cztery tysiące ludzi sam widziałem, a za lasem stała także jakowaś jazda. Otoczono nas wedle Krasiczyna, do którego pułkownik Dubois

¹⁵ *siła* (daw.) – dużo, wiele. [przypis edytorski]

umyślnie z traktu zboczył, bo mu doniesiono, że się tam ludzie jakowś znajdują. Teraz mniemam, że Czarniecki umyślnie podesłał języka¹⁶, aby nas w zasadzkę wprowadzić. Jakoż nikt prócz mnie żywy nie wyszedł. Chłopstwo dobijało rannych, jam cudem ocalał!

– Z diabłem chyba ten człowiek wszedł w przymierze – rzekł, przykładając dłoń do czoła, król. – Bo żeby po takiej klęsce znów wojsko zebrać i nad karkiem nam stanąć, nie ludzka moc!

– Stało się wedle tego, co marszałek Wittenberg przewidywał – wtrącił Aszemberg.

Na to król wybuchnął:

– Wy wszyscy umiecie przewidywać, jeno radzić nie umiecie!

Aszemberg pobladł i umilkł. Karol Gustaw, gdy był wesół, zdawał się być z samej dobroci ulepiony, ale gdy raz brew zmarszczył, wzbudzał strach nieopisany w najbliższych – i nie tak ptaki kryją się przed orłem, jako kryli się przed nim najstarsi i najzasłużeńsi jenerałowie.

Lecz teraz wrędcę się pomiarkował i pytał znowu kapitana Freeda:

– Zacneż to wojska przy Czarnieckim?

– Widziałem kilka chorągwi nieporównanych, jako to u nich bywa jazda.

– To te same pod Gołębiem z taką furią nacierały. Stare muszą

¹⁶ *język* – tu: informator, żołnierz nieprzyjacielski, wzięty do niewoli w celu przesłuchania i zasięgnięcia informacji o wojskach wroga, ich liczebności, rozmieszczeniu i zamiarach. [przypis edytorski]

być pułki. A on sam, Czarniecki, wesół, dufny?

– Tak dufny, jakoby to on pod Gołębkiem rozgromił. Teraz tym bardziej musiały się serca w nich podnieść, bo o gołębskiej już zapomnieli, a krasiczyńską wiktoria się chwala. Wasza królewska mość! co mi kazał Czarniecki powtórzyć, tom powtórzył, ale gdym już wyjeżdżał, zbliżył się do mnie ktoś ze starszyny, człek potężny, stary, i rzekł mi, iż jest ten, który wiekopomnego Gustawa Adolfa w ręcznym boju rozciągnął. Siła¹⁷ i przeciwko waszej królewskiej mości bluźnił, inni zaś mu wtórowali. Tak oni się chełpią! Odjechałem wśród uragań i wymyślań...

– Mniejsza z tym! – odparł Karol Gustaw. – Czarniecki nie rozbity i wojska już zebrał, to grunt. Tym spieszniej musimy iść naprzód, aby polskiego Dariusza jak najprędzej dosięgnąć. Waszmościom wolno już odejść. Wojsku rozgłosić, że owe pułki od kup chłopskich na oparzeliskach zginęły. Idziemy naprzód!

Oficerowie wyszli, Karol Gustaw został sam. Przez czas jakiś dumał posepnie. Miałoby zwycięstwo pod Gołębkiem żadnych owoców nie przynieść, położenia nie zmienić, owszem, większą tylko zaciekłość w całym tym kraju rozbudzić?

Karol Gustaw wobec wojska i jenerałów okazywał zawsze pewność siebie i wiarę, ale gdy został sam i poczynął rozmyślać o tej wojnie, jaka się od początku łatwo zaczęła, a coraz trudniejszą stawała – nieraz ogarniało go zwątpienie. Wszystkie wypadki przedstawiały mu się jakoś dziwnie. Często wyjścia nie widział, końca nie mógł odgadnąć. Czasem zdawało mu się, że jest jako

¹⁷ *siła* (daw.) – dużo, wiele; bardzo. [przypis edytorski]

człowiek, który wszedłszy z brzegu morskiego w wodę, czuje, że za każdym krokiem głębiej schodzi i wkrótce straci grunt pod nogami.

Lecz wierzył w gwiazdy. I teraz więc podszedł do okna, aby na swoją wybraną popatrzeć, na tę właściwie, która w Wielkim Wozie, czyli w Niedźwiedzicy, najwyższe miejsce zajmuje i świeci najmocniej. Niebo było pogodne, więc i w tej chwili płonęła jaskrawo, migotała się na błękitno i czerwono – z dala tylko, poniżej, na ciemnym granacie nieba, czerniła się jako wąż samotna chmura, od której szły jakby ramiona, jakby gałęzie, jakby macki morskiego potworu i zdawały się coraz zbliżać ku królewskiej gwiazdzie.

Rozdział II

Nazajutrz dzień ruszył król w dalszy pochód i przyciągnął do Lublina. Tam otrzymawszy wiadomość, iż pan Sapieha po odparciu Bogusławowego najazdu ze znacznym wojskiem ciągnie, takowego zaniechał, Lublin tylko załogą umocnił i szedł dalej.

Najbliższym celem wyprawy był teraz dla niego Zamość, gdyby bowiem ową potężną twierdzę zdołał zająć, zyskałby niewzruszoną podstawę do dalszej wojny i tak znamienitą przewagę, iż szczęśliwego końca mógłby z całą otuchą wyglądać. O Zamościu różne krążyły mniemania. Polacy, dotychczas jeszcze przy Karolu stojący, utrzymywali, iż to jest twierdza w Rzeczypospolitej najpotężniejsza, i przytaczali na dowód, iż wszystkie siły Chmielnickiego wstrzymała.

Lecz ponieważ Karol spostrzegł, iż Polacy zgola nie byli w fortyfikowaniu twierdz biegli, i takie za silne uważali, które po innych krajach za ledwie do trzeciorzędnych liczono, że wiedział i o tym, iż w żadnej z twierdz nie było dostatecznego opatrunku, to jest ani murów jak należy utrzymanych, ani budowli ziemnych, ani broni należytej, przeto i co do Zamościa dobrej był myśli. Liczył też na urok swego imienia, na sławę niezwycięzonego wodza, a wreszcie i na układy. Układami, które każdy¹⁸ magnat mocen był w tej Rzeczypospolitej zawierać albo przynajmniej

¹⁸ *każden* – dziś popr.: każdy. [przypis edytorski]

pozwał sobie zawierać, więcej dotychczas Karol wskórał niż bronią. Jako więc człek przebiegły i lubiący wiedzieć, z kim ma do czynienia, starannie wszystkie wiadomości o władcy Zamościa zbierał. Wypytywał o jego obyczaje, skłonności, dowcip¹⁹ i fantazję.

Jan Sapieha, który naonczas zdradą jeszcze, ku wielkiemu umartwieniu wojewody witebskiego, nazwisko kłał, najwięcej królowi dawał objaśnień co do pana starosty kałuskiego. Trawili też na naradach całe godziny. Sapieha zresztą nie sądził, aby łatwo przyszło królowi pana na Zamościu skaptować.

– Pieniędźmi go nie skusić – mówił pan Jan – bo człek okrutnie możny. O godności nie dba i nigdy o nie nie zabiegał, nie chciał ich wonczas nawet, gdy same go szukały... Co do tytułów, sam słyszałem, jak na dworze zgromił pana des Noyersa, sekretarza królowej, za to, że mówiąc do niego, powiedział: *mon prince*²⁰! – „Jam nie *prince* (rzecze mu), ale archiduków²¹ więźniami w moim Zamościu miewał.” Co prawda zresztą, to nie on miewał, jeno jego dziad, którego Wielkim w narodzie naszym nazywają.

– Byle mi bramy Zamościa otworzył, zaofiaruję mu coś takiego, czego żaden król polski zaofiarować by nie mógł.

Sapieże nie wypadało pytać, co by takiego było, spojrzał tylko z ciekawością na Karola Gustawa, ten zaś zrozumiał spojrzenie i

¹⁹ *dowcip* (daw.) – rozum, inteligencja. [przypis edytorski]

²⁰ *mon prince* (fr.) – mój książę. [przypis edytorski]

²¹ *archiduk* (franc. *archiduc*) – arcyksiążę. [przypis edytorski]

odrzekł odgarniając, wedle zwyczaju, włosy za uszy:

– Zaofiaruję mu województwo lubelskie jako niezawisłe księstwo – korona skusi go. Żaden by z was się takiej pokusie nie oparł, nawet dzisiejszy wojewoda wileński.

– Nieograniczona jest hojność waszej królewskiej mości – odparł, nie bez pewnej ironii w głosie, Sapieha.

A Karol odpowiedział z właściwym sobie cynizmem:

– Daję, bo nie moje.

Sapieha pokręcił głową.

– Nieżonaty człowiek jest i synów nie ma. Temu korona miła, kto potomstwu przekazać ją może.

– Jakichże tedy sposobów radzisz mi wasza mość się chwycić?

– Mniemałbym, że pochlebstwem najwięcej da się wskórać. Pan to jest niezbyt bystrego dowcipu i snadnie go można objechać. Trzeba mu przedstawić, jako od niego tylko zależy uspokojenie Rzeczypospolitej, trzeba mu wmówić, iż on jeden może ją osłonić od wojny, nieszczęścia, klęsk wszelkich i przyszłych nieszczęść, a to właśnie przez otwarcie bram. Jeśli ryba ten haczyk połknie, to będziemy w Zamościu, inaczej – nie!

– Zostaną działa jako ostatnia racja!

– Hm! Na tę rację znajdzie się z czego w Zamościu odpowiedzieć. Armat ciężkich tam nie brak, a my musielibyśmy je dopiero sprowadzać, co gdy roztopy nastąpią, stanie się niepodobnym.

– Słyszałem, że piechoty w twierdzy są grzeczne, ale jazdy im brak.

– Jazda tylko w gołym polu potrzebna, a zresztą, skoro Czarniecki, jako się pokazało, nie rozbit, to mógł jedną i drugą chorągiew do posług wrzucić.

– Wasza mość same tylko trudności widzisz.

– Ale wciąż ufam w szczęśliwą gwiazdę waszej królewskiej mości – odparł Sapieha.

Miał jednak słuszość pan Jan przewidując, że Czarniecki opatrzył Zamość w jazdę, konieczną do podjazdów i chwytania języków²². Wprawdzie pan Zamoyski miał swojej dosyć i wcale pomocy nie potrzebował, lecz kasztelan kijowski dwie chorągwie, które najbardziej ucierpiały pod Gołębim, to jest Szemberkową i laudańską, umyślnie do fortecy posłał, żeby mogły odpocząć, odżywić się i konie srodze zmarnowane zmienić. W Zamościu przyjął je pan Sobiepan gościnnie, a gdy się dowiedział, jacy sławni żołnierze w nich się znajdują, tedy pod niebo ich wynosił, darami obsypał i co dzień u stołu swego sadzał.

Lecz któż opisze radość i rozrzewnienie księżnej Gryzeldy na widok pana Skrzetuskiego i pana Wołodyjowskiego, dawnych najdzielniejszych wielkiego męża pułkowników. Padli jej do nóg obaj, rzewne łzy na widok ukochanej pani wylewając, a i ona nie mogła płaczu pohamować. Ileż bo wspomnień łączyło się z nimi z owych dawnych czasów łubniańskich, gdy mąż jej, sława i

²² *język* – tu: informator, żołnierz nieprzyjacielski, wzięty do niewoli w celu przesłuchania i zasięgnięcia informacji o wojskach wroga, ich liczebności, rozmieszczeniu i zamiarach. [przypis edytorski]

ukochanie narodu, pełen sił życia, władał potężnie dziką krainą, jak Jowisz jednym zmarszczeniem brwi wzniecając postrach wśród barbarzyństwa. Takie to niedawne czasy, a gdzie one? Dziś władyka²³ w grobie, krainę barbarzyńcy posiedli, a ona, wdowa, siedzi oto na popiołach szczęścia, wielkości, smutkiem jeno żyjąc i modlitwą.

Wszelako w owych wspomnieniach tak słodycz z goryczą się pomieszała, że myśli tych trojga rade leciały w przeszłość. Więc rozmawiali o dawnym życiu, o miejscach, których nie miały już ujrzeć ich oczy, o dawnych wojnach, wreszcie o dzisiejszych czasach klęski i gniewu bożego.

– Gdyby nasz książę żył! – mówił Skrzetuski – inne by były Rzeczypospolitej koleje. Kozactwo byłoby starte, Zadnieprze przy Rzeczypospolitej, a Szwed teraz znalazłby swego pogromiciela. Bóg zarządził, jak chciał, aby za grzechy nas ukarać.

– Oby Bóg w panu Czarnieckim obrońcę wskrzesił! – rzekła księżna Gryzelda.

– Tak i będzie! – zawołał pan Wołodyjowski. – Jako nasz książę innych panów głową przenosił, tak i on wcale do innych wodzów niepodobny. Znam ja przecie obu panów hetmanów koronnych i pana Sapięgę litewskiego. Wielcy to żołnierze, ale przecie jest coś w panu Czarnieckim ekstraordynaryjnego²⁴, rzekłbyś: orzeł, nie człowiek. Niby łaskaw, a wszyscy go się

²³ *władyka* – władca, książę. [przypis edytorski]

²⁴ *ekstraordynaryjny* (z łac.) – niezwykły, nadzwyczajny. [przypis edytorski]

boją, ba! nawet pan Zagłoba często o krotochwilach²⁵ swych przy nim zapomina. A jak wojsko prowadzi! jak szykuje! – imaginację²⁶ przechodzi! Nie może inaczej być, tylko wielki wojennik powstaje w Rzeczypospolitej.

– Mąż mój, który go pułkownikiem znał, jeszcze wówczas wielkość mu przepowiadał – rzekła księżna.

– Mówiono nawet, że żony na naszym dworze miał szukać – wtrącił pan Wołodyjowski.

– Nie pamiętam, aby o tym była mowa – odparła księżna.

Jakoż nie mogła pamiętać, bo nigdy nic podobnego nie było, ale pan Wołodyjowski chytrze na razie to wymyślił, chcąc zwrócić rozmowę na fraucymer²⁷ księżnej i o pannie Anusi Borzobohatej czegoś się dowiedzieć, albowiem wprost pytać osądził za rzecz nieprzyzwoitą i zbyt względem majestatu księżnej poufałą. Lecz wybieg się nie udał. Księżna wróciła znów myślą do męża i wojen kozackich, za czym i mały rycerz pomyślał: „Nie ma Anusi, może od Bóg wie wielu lat!” I więcej o nią nie pytał.

Mógł pytać oficerów, ale i jego umysł, i wszystkie zajęte były czym innym. Co dzień podjazdy dawały znać, że Szwedzi coraz to bliżej, gotowano się więc do obrony. Skrzetuski i Wołodyjowski dostali funkcje na murach, jako oficerowie i

²⁵ *krotochwila* (starop.) – żart. [przypis edytorski]

²⁶ *imaginacja* (z łac.) – wyobrażnia, wyobrażenie. [przypis edytorski]

²⁷ *fraucymer* (z niem. *Frauenzimmer*: komnata kobiet, pokój dla dam) – damy dworu, stałe towarzystwo księżnej. [przypis edytorski]

Szwedów, i wojny z nimi świadomi. Pan Zagłoba ducha dodawał i opowiadał o nieprzyjacielu tym, którzy go dotychczas nie znali, a było takich między zamojskimi żołnierzami dosyć, gdyż Szwedzi nie zapuszczali się dotychczas pod Zamość.

Zagłoba w lot pana starostę kałuskiego przeznał, a ten niezmiernie go polubił i we wszystkim się do niego zwracał, zwłaszcza że i od księżnej Gryzeldy słyszał, jako w swoim czasie sam ksiązę Jeremi pana Zagłobę wenerował²⁸ i *vir incomparabilis*²⁹ nazywał. Co dzień tedy przy stole wszyscy słuchali, a pan Zagłoba prawił o dawniejszych i nowszych czasach, o wojnach z Kozaki³⁰, o zdradzie Radziwiłła, o tym, jako pana Sapiechę na ludzi wyprowadził.

– Radziłem mu – mówił – iżby siemię konopne w kieszeni nosił i po trochu spożywał. To tak ci się do tego przyzwyczaił, że teraz coraz to ziarno wyjmie, wrzuci do gęby, rozgryzie, miazgę zje, a łuskwinę wypłunie. W nocy, jak się obudzi, także to czyni. Od tej pory tak mu się dowcip³¹ zaostrzył, że i najbliżsi go nie poznają.

– Jakże to? – pytał starosta kałuski.

– Bo w konopiach *oleum*³² się znajduje, przez co i w głowie jedzącemu go przybywa.

²⁸ *wenerować* (z łac.) – uwielbiać. [przypis edytorski]

²⁹ *vir incomparabilis* (łac.) – mąż niezrównany. [przypis edytorski]

³⁰ z *Kozaki* – dziś popr. forma N. lm: z Kozakami. [przypis edytorski]

³¹ *dowcip* (daw.) – rozum, inteligencja. [przypis edytorski]

³² *oleum* (łac.) – olej. [przypis edytorski]

– Bodajże waszą mość! – rzekł jeden z pułkowników. – Toż w brzuchu oleju przybywa, nie w głowie.

– *Est modus in rebus*³³! – rzecze na to Zagłoba – trzeba co najwięcej wina pić: *oleum*, jako lżejsze, zawsze będzie na wierzchu, wino zaś, które i bez tego idzie do głowy, poniesie ze sobą każdą cnotliwą substancję. Ten sekret mam od Lupuła, hospodara³⁴, po którym jak waściom wiadomo, chcieli mnie Wołosi na gospodarstwo posadzić, ale sułtan, który woli, by gospodarowie nie mieli potomstwa, postawił mi kondycję³⁵, na którą zgodzić się nie mogłem.

– Musiałeś waść siła³⁶ konopnego siemienia i sam zażywać? – rzekł na to pan Sobiepan.

– Ja nie potrzebowałem, ale waszej dostojności z całego serca radzę! – odparł Zagłoba.

Słyszając te śmiałe słowa, zlekli się niektórzy, żeby ich pan starosta kałuski do serca nie wziął, lecz on, czy nie zmiarkował, czy nie chciał zmiarkować, dość, że uśmiechnął się tylko i spytał:

– A słonecznikowe ziarna nie mogą konopnych zastąpić?

– Mogą – odrzekł Zagłoba – jeno ponieważ olej ze słoneczników jest cięższy, przeto trzeba wino mocniejsze pić od tego, które teraz oto pijemy.

³³ *Est modus in rebus* (łac.) – na wszystko jest sposób. [przypis edytorski]

³⁴ *hospodar* – tytuł władcy Wołoszczyzny, państwa położonego na terenie dzisiejszej pld. Rumunii, zależnego od Imperium Osmańskiego. [przypis edytorski]

³⁵ *kondycja* (łac.) – warunek. [przypis edytorski]

³⁶ *siła* (daw.) – dużo, wiele. [przypis edytorski]

Pan starosta zrozumiał, o co chodzi, rozochocił się i zaraz kazał co najlepszych win przynieść. Za czym uradowali się w sercach wszyscy i ochota stała się powszechną. Pito i wiwatowano na zdrowie królewskie, gospodarskie i pana Czarnieckiego. Pan Zagłoba wpadł w humor przedni, nikogo do głosu nie dopuścił. Opowiadał więc o gołębskiej potrzebie³⁷ bardzo szeroko, w której istotnie dobrze stawał, bo zresztą, służąc w chorągwi laudańskiej, nie mógł inaczej uczynić. Ale że od jeńców szwedzkich, wziętych z pułków Dubois, wiadano o śmierci grafa Waldemara, więc oczywiście wziął pan Zagłoba na się za tę śmierć odpowiedzialność.

– Całkiem inaczej by ta bitwa poszła – mówił – żeby nie to, zem właśnie poprzedzającego dnia do Baranowa, do tamtejszego kanonika, odjechał, i Czarniecki nie wiedząc, gdzie jestem, poradzić się mnie nie mógł. Może też i Szwedzi o owym kanoniku zasłyszeli, bo u niego miody przednie, i niebawem pod Gołąb podeszli. Gdym wrócił, było już za późno, król nastąpił i zaraz trzeba było uderzać. Poszliśmy jako w dym, ale cóż, kiedy pospolitacy wołają w ten sposób kontempt³⁸ nieprzyjacielowi okazywać, że się tyłem do niego odwracają. Nie wiem, jako sobie teraz Czarniecki da rady beze mnie!

– Da sobie rady! nie obawiaj się waćpan! – rzekł pan Wołodyjowski.

– I wiem dlaczego. Bo król szwedzki woli za mną pod

³⁷ *potrzeba* – tu: bitwa. [przypis edytorski]

³⁸ *kontempt* (z łac.) – lekceważenie, pogarda. [przypis edytorski]

Zamość walić niż jego po Powiślu szukać. Nie neguję ja Czarnieckiemu, że dobry żołnierz, ale kiedy pocznie brodę kręcić, a swym żbiczym wzrokiem patrzeć, tedy towarzyszowi spod najgórniejszej chorągwi wydaje się, że jest dragonem... Nic on na godność nie uważa, czego i samiście byli świadkami, gdy pana Żyrskiego, człeka znacznego, kazał po majdanie końmi włóczyć za to tylko, że z podjazdem nie dotarł tam, gdzie miał rozkaz. Ze szlachtą, mości panowie, trzeba po ojcowsku, nie po dragonśku... Powiesz mu: „Panie bracie, a bądź łaskaw, a idź”, rozczulisz go, na ojczyznę i sławę wspomniawszy, to ci dalej pójdzie niż dragon, który dla lafy³⁹ służy.

– Szlachcic szlachcicem, a wojna wojną – ozwał się starosta.

– Bardzo to misternie wasza dostojność wywiodła – odparł Zagłoba.

– A taki pan Czarniecki koncept Carolusowi w końcu powariuje! – zauważył Wołodyjowski. – Byłem też na niejednej wojnie i mówić o tym mogę.

– Pierwej my mu powariujemy pod Zamościem – odparł pan starosta kałuski, wydymając usta, sapiąc z okrutną fantazją, wytrzeszczając oczy i biorąc się w boki. – Ba! fiu! Co mnie tam! He? Kogo w gości proszę, temu drzwi otwieram! Co? ha!

Tu pan starosta zaczął jeszcze mocniej sapać, kolanami o stół uderzać, przechylać się, kręcić głową, a srożyć się, a oczami błyskać i mówić, jako miał zwyczaj, z pewną rubaszną niedbałością:

³⁹ *lafa* (daw.) – żołd, płaca. [przypis edytorski]

– Co mi tam! On pan w Szwecji, a Zamoyski Sobiepan w Zamościu. *Eques polonus sum*⁴⁰, nic więcej, co? Alem u siebie. Ja Zamoyski, a on król szwedzki... a Maksymilian był austriacki, co? Idzie, a niech idzie... Obaczym! Jemu Szwecji mało, mnie Zamościa dość, ale go nie dam, co?

– Miło, mości panowie, słuchać nie tylko takiej elokwencji, ale tak zacnych sentymentów! – zakrzyknął pan Zagłoba.

– Zamoyski Zamoyskim! – odparł uradowany z pochwały starosta kałuski. – Nie kłanialiśmy się i nie będziemy... *ma foi*⁴¹! Zamościa nie dam, i basta.

– Zdrowie gospodarskie! – huknęli oficerowie.

– *Vivat! vivat!*

– Panie Zagłoba! – zawołał starosta – króla szwedzkiego nie puszcze do Zamościa, a waszmości z Zamościa!

– Panie starosto, dziękuję za łaskę, ale tego wasza dostojność nie uczynisz, bo ile byś Carolusa pierwszym postanowieniem zmartwił, tyle byś go drugim ucieszył.

– Dajże parol⁴², że do mnie po wojnie przyjedziesz, co?

– Daję...

Długo jeszcze ucztowano, po czym sen począł morzyć rycerzy, więc poszli na spoczynek, zwłaszcza że wkrótce miały się dla nich zacząć bezsenne noce, bo Szwedzi byli już blisko i przednich straży spodziewano się lada godzina.

⁴⁰ *Eques polonus sum* (łac.) – jestem polskim rycerzem. [przypis edytorski]

⁴¹ *ma foi* (fr.) – słowo daję, dalibóg, doprawdy. [przypis edytorski]

⁴² *parol* (z fr.) – słowo honoru. [przypis edytorski]

– Taki⁴³ on Zamościa naprawdę nie da – mówił Zagłoba, wracając do swej kwatery ze Skrzetuskimi i Wołodyjowskim. – Zauważyliście waszmościowie, jakeśmy się pokochali... Dobrze nam się będzie w Zamościu działa, i mnie, i wam. Przystaliśmy do siebie z panem starostą tak, że żaden stolarz futrowania⁴⁴ lepiej nie połączy. Dobrze panisko... Hm!... Gdyby był moim kozikiem i gdybym go u pasa nosił, często bym go o osetkę wecował, bo trochę tępy... Ale dobry człek, i ten nie zdradzi, jako oni skurczybykowie birzańscy... Uważaliście, jako magnatowie Igną do starego Zagłoby... Nic, tylko się opędzać... Ledwie się od Sapiehy wykaraskał, już jest drugi... Ale tego nastroję jako basetlę i taką na nim arię Szwedom zagram, że się na śmierć pod Zamościem zatańcują... Nakręcę go jako gdański zegar do kuranta...

Dalszą rozmowę przerwał gwar dolatujący z miasta. Po chwili znajomy oficer przesunął się szybko koło rozmawiających.

- Stój! – zawołał Wołodyjowski. – Co tam?
- Łunę z wałów widać. Szczembrzeszyn się pali! Szwedzi tuż!
- Chodźmy na wały, mości panowie! – rzekł Skrzetuski.
- Idźcie, a ja zdrzemnę, bo mi na jutro sił potrzeba – odpowiedział Zagłoba.

⁴³ *taki* (reg.) – jednak, tak więc, przecież. [przypis edytorski]

⁴⁴ *futrowanie* – obicie z desek, boazeria; por. futryna. [przypis edytorski]

Rozdział III

Tejże jeszcze nocy pan Wołodyjowski poszedł na podjazd i nad ranem sprowadził kilkunastu języków⁴⁵. Ci potwierdzili, że król szwedzki osobą własną w Szczepieszynie się znajduje i niebawem stanie pod Zamościem.

Uradował się pan starosta kałuski tą wieścią, bo się wielce rozruszał i niekłamano miał chęć wypróbowania swych działań na Szwedach. Mniemał przy tym, i bardzo słusznie, że choćby ulec w końcu przyszło, zawsze zatrzyma na sobie potęgę szwedzką przez całe miesiące, a przez ten czas Jan Kazimierz zbierze wojska, sprowadzi całą orzę w pomoc i w całym kraju potężny a zwycięski opór przygotowuje.

– Raz mi się zdarza sposobność – mówił z wielką fantazją na radzie wojennej – ojczyźnie i królowi znamienitą przysługę oddać, zapowiadam też waszmościom, że pierwej w powietrze się wysadzę, nim tu szwedzka noga postoi. Chęć Zamoyskiego siłą brać, dobrze! Niech biorą! Obaczmy, kto lepszy! Waćpanowie, tuszę, z serca pomagać mi będziecie!

– Gotowiśmy poginać przy waszej dostojności! – ozwali się chórem oficerowie.

– Byle nas tylko oblegali – rzekł Zagłoba – bo

⁴⁵ *język* – tu: informator, żołnierz nieprzyjacielski, wzięty do niewoli w celu przesłuchania i zasięgnięcia informacji o wojskach wroga, ich liczebności, rozmieszczeniu i zamiarach. [przypis edytorski]

gotowi zaniechać... Mości panowie! jakem Zagłoba, pierwszy wycieczkę poprowadzę!

– Ja z wujem! – rzekł Roch Kowalski. – Na króla samego skoczę!

– Teraz na mury! – zakomenderował starosta kałuski.

Ruszyli wszyscy. Mury były jako kwieciami żołnierzami ubrane. Pułki piechoty tak świetnej, jakiej nie było w całej Rzeczypospolitej, stały w gotowości jeden obok drugiego, z muszkietami w rękę i oczyma zwróconymi ku polom. Mało służyło w nich cudzoziemców, ledwie trochę Prusaków i Francuzów, głównie zaś chłopci ordynacy. Lud rosły, dorodny, któren⁴⁶ gdy go w barwiste kolety przybrano i na modłę cudzoziemską wyćwiczono, bił się tak dobrze jak najlepsi kromwelowscy Anglicy⁴⁷. Szczególnie tędzy byli, gdy po strzałach przyszło rzucić się wręcz na nieprzyjaciela. I teraz wyglądali Szwedów niecierpliwie, pomni dawniejszych swych nad Chmielnickim tryumfów. Przy działach, których długie szyje wyciągały się jakoby z ciekawością przez blanki ku polom, służyli przeważnie Flamandowie, do ognistej służby najprzedniejsi. Za fortecą już, z tamtej strony fosy, kręciły się chorągwie lekkiej jazdy, same bezpieczne, bo pod osłoną dział i schroniska pewne, a mogące w każdej chwili skoczyć, gdzie

⁴⁶ *któren* – dziś popr. który. [przypis edytorski]

⁴⁷ *kromwelowscy Anglicy* – żołnierze Olivera Cromwella (1599–1658), angielskiego polityka i wybitnego dowódcy, który doprowadził do skazania na śmierć króla Karola I Stuarta (1600–1649) i został lordem protektorem Anglii. [przypis edytorski]

trzeba.

Starosta kałuski objeżdżał mury w szmelcowanej zbroi, z pozłocistym buzdyganem⁴⁸ w ręku, i co chwila pytał:

– A co, nie widać jeszcze?

I kłął pod nosem, gdy mu zewsząd odpowiadano, że nie widać. Po chwili jechał w inną stronę i znowu pytał:

– A co? Nie widać?

Tymczasem trudno było coś widzieć, bo trochę mgły wisiało w powietrzu. Dopiero koło dziesiątej rano zaczęła opadać. Niebo błękitne zaświeciło nad głowami, widnokrąg wyjaśnił się, i zaraz też na zachodniej stronie murów poczęto wołać:

– Jada! jada! jada!

Pan starosta, a z nim pan Zagłoba i trzech przyboczni oficerowie starosty wstąpili żywo na angul⁴⁹ murów, z którego widok był daleki, i poczęli patrzeć przez perspektywę⁵⁰. Nieco mgły leżało jeszcze przy ziemi, ale wojska szwedzkie, idące od Wielączy, zdawały się brodzić do kolan w owym тумanie, jak gdyby wynurzały się z wód rozległych. Bliższe pułki bardzo już były wyraźne, tak że gołym okiem można było rozróżnić piechotę, idącą głębokimi szeregami, i zastępy rajtarskie; dalsze natomiast przedstawiały się jakoby kłęby kurzawy ciemnej,

⁴⁸ *buzdygan* (z tur.) – rodzaj broni, ozdobna pałka; w XVII w. symbol władzy oficera.
[przypis edytorski]

⁴⁹ *angul* (z łac. *angulus*: ką, róg) – załamanie, występ muru, rodzaj bastionu.
[przypis edytorski]

⁵⁰ *perspektywa* (daw.) – luneta. [przypis edytorski]

toczącej się ku miastu. Z wolna przybywało coraz więcej pułków, armat, jazdy.

Widok był piękny. Ze środka każdego czworoboku piechurów sterczał w górę niezmiernie regularny czworobok włóczni; między nimi wiewały chorągwie różnych barw, a najwięcej błękitnych z białymi krzyżami i błękitnych ze złotymi lwami. Zbliżyli się jeszcze bardziej. Na murach było cicho, więc powiew wiatru niósł od nich skrzyp kół, chrzęst zbroi, tętent koni i przytłumiony gwar głosów ludzkich. Doszedłszy na dwa strzały ze śmigownicy⁵¹, poczęli się rozciągać przed fortecą. Niektóre czworoboki piechoty rozsypały się w bezładne roje. Widocznie zabierali się do roztasowywania namiotów i do sypania szańcyków.

– Ot i są! – rzekł pan starosta.

– Są, psubraty! – odrzekł Zagłoba.

– Można by ich, człeka po człeku, palcem rachować.

– Tacy starzy praktycy jak ja nie potrzebują rachować, jeno okiem rzucają. Jest ich dziesięć tysięcy jazdy i ośm piechoty z artylerią. Jeślim się o jednego gemajna⁵² albo o jednego konia omylił, gotówem całą fortunę za omyłkę zapłacić.

– Zali⁵³ tak można wymiarkować?

⁵¹ *śmigownica* – falkonet a. sokolik, działo polowe piechoty, ładowane od przodu, używane w XVI-XVIII w., rodzaj kolubryny o kalibrze 55-70 mm, stosowana także w bitwach morskich do abordażu. [przypis edytorski]

⁵² *gemajn* (daw., z niem. *gemein*: zwykły) – szeregowiec. [przypis edytorski]

⁵³ *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

– Dziesięć tysięcy jazdy i ośm piechoty, żebym tak zdrów był! W Bogu nadzieja, że w znacznie szczuplejszej liczbie odejdą, niech tylko jedną wycieczkę poprowadzę.

– Słyszysz waszmość, arię grają!

Rzeczywiście, trębacze z doboszami wystąpili przed pułki i zagrzmiała bojowa muzyka. Przy jej odgłosie nadchodziły bliżej dalsze pułki i otaczały z dala miasto. Na koniec od zbitych tłumów oderwało się kilkunastu jeźdźców. Wpół drogi posadzały białe chusty na miecze i poczęli nimi powiewać.

– Poselstwo – rzekł Zagłoba. – Widziałem, jak do Birżów, złodzieje, przyjechali z taką samą fantazją, i wiadomo, co z tego wypadło.

– Zamość nie Birże, a ja nie wojewoda wileński! – odparł pan starosta.

Tymczasem tamci zbliżyli się do bramy. Po krótkiej chwili przyskoczył do pana starosty oficer służbowy z oznajmieniem, iż pan Jan Sapieha pragnie w imieniu króla szwedzkiego widzieć się z nim i rozmówić.

A pan starosta począł się zaraz w boki brać, z nogi na nogę przestępywać a sapać, a wargi odymać, wreszcie odrzekł z okrutną fantazją:

– Powiedz panu Sapieże, że Zamoyski ze zdrajcami nie gada. Chce król szwedzki ze mną gadać, niech mi Szweda rodowitego przyśle, nie Polaka, bo Polacy, którzy Szwedowi służą, niech do psów moich poselstwa odprawują, gdyż po równi nimi gardzę!

– Jak mi Bóg miły, to *respons*⁵⁴! – zawołał z niekłamanymp zapalem Zagłoba.

– A niech ich tam diabli wezmą! – zawołał podniesiony własnymi słowy⁵⁵ i pochwałą starosta. – Co? Będę z nimi robił ceremonie czy co?

– Pozwól, wasza dostojność, niech mu sam ten *respons* odniosę! – rzekł Zagłoba.

I nie czekając dłużej, skoczył z oficerem służbowym, wyszedł naprzeciw pana Jana i widocznie, że nie tylko słowa starościńskie powtórzył, ale musiał od siebie coś wielce szpetnego dodać, bo pan Sapieha zawrócił tak z miejsca, jakby mu przed koniem piorun trzasł, i naciśnawszy czapkę na uszy, odjechał.

Z murów zaś i z chorągwi tej jazdy, która przed bramą stała, poczęto huczeć za odjeżdżającymi:

– A do budy, zdrajcy, przedawczykowie! żydowscy słudzy! Huź! huź!...

Sapieha stanął przed królem blady, z zaciśniętymi wargami. A i król też był zmieszany, bo Zamość omylił jego nadzieję... Co najwięcej, mimo tego, co mu poprzednio mówiono, spodziewał się znaleźć gród takiej odpornej siły, jak Kraków, Poznań i inne miasta, których tyle już zdobył. Tymczasem znalazł twierdzę potężną, przypominającą duńskie i niderlandzkie, o której bez dział ciężkiego kalibru nie mógł nawet pomyśleć.

– Co tam? – spytał, ujrawszy Sapięgę.

⁵⁴ *respons* (z łac.) – odpowiedź. [przypis edytorski]

⁵⁵ *własnymi słowy* – dziś popr. forma N. lm: własnymi słowami. [przypis edytorski]

– Nic! Pan starosta nie chce gadać z Polakami, którzy waszej królewskiej mości służą. Wysłał do mnie swego trefnisia⁵⁶, który mnie i waszą królewską mość zelżył tak sromotnie, że i powtórzyć się nie godzi.

– Wszystko mi jedno, z kim chce gadać, byle gadał. W braku innych mam żelazne argumenta, a tymczasem Forgella mu poślę.

Jakoż w pół godziny później Forgell z czysto szwedzką asystencją oznajmił się przy bramie. Most łańcuchowy opuścił się z wolna na fosę i jenerał wjechał do twierdzy wśród spokoju i powagi. Oczu nie wiązano ani jemu, ani nikomu ze świty; widocznie chciał, owszem, pan starosta, iżby wszystko widział i o wszystkim królowi mógł donieść. Przyjął go zaś z takim przepychem jak księżę udzielny i istotnie w podziw wprowadził, panowie bowiem szwedzcy i dwudziestej części tych bogactw nie mieli co Polacy, a pan starosta między polskimi był niemal najpotężniejszym. Przebiegły Szwed począł też od razu tak go traktować, jak gdyby go król Karol do równego sobie monarchy w poselstwie wysłał, z góry nazwał go *princeps*⁵⁷ i ciągle tak nazywał, chociaż pan Sobiepan za pierwszym zaraz razem mu przerwał:

– Nie *princeps, eques polonus sum*, ale właśnie dlatego księżętom równy!

– Wasza książęca mość! – mówił, nie dając się zbić z tropu, Forgell. – Najjaśniejszy król szwedzki i pan (tu długo wyliczał

⁵⁶ *trefniś* – błazen. [przypis edytorski]

⁵⁷ *princeps, principis* (łac.) – pan, władca, książe, cesarz. [przypis edytorski]

tytuły) zgola nie jako nieprzyjaciel tu przybył, ale wprost mówiąc, w gościnę tu przyjechał i przeze mnie się zapowiada, mając niepłonną, jak tuszę, nadzieję, że wasza książęca mość dla osoby jego i jego wojsk bramy swe otworzyć zechcesz.

– Nie masz u nas tego zwyczaju – odpowiedział pan Zamoyski – aby komu gościnności odmawiać, choćby też i nieproszony przyjechał. Znajdzie się zawsze u mnie miejsce przy stole, a nawet, dla tak dostojnej osoby, pierwsze. Powiedz tedy, wasza dostojność, najjaśniejszemu królowi, że bardzo proszę, i tym szczerzej, że jako najjaśniejszy *Carolus Gustavus* jest panem w Szwecji, tak ja w Zamościu. Ale że jako wasza dostojność widziałeś, służby mi nie brak, przeto nie potrzebuje jego szwedzka jasność swojej ze sobą brać. Inaczej, pomyślałbym, że mnie ma za chudopachołka i kontempt⁵⁸ chce mi okazać.

– Dobrze! – szepnął stojący tuż za plecami pana starosty Zagłoba.

A pan starosta, wypowiedziawszy swoją orację, począł usta wydymać, sapać i powtarzać jeszcze:

– A! ot, co jest! a!

Forgell przygryzł wąsów, pomilczał trochę i wreszcie tak mówić począł:

– Największy to byłby dowód nieufności dla króla, gdybyś wasza książęca mość załogi jego do fortecy wpuścić nie raczył. Powiernikiem królewskim jestem, wiem jego najtajniejsze myśli, a oprócz tego mam rozkaz oświadczyć waszej dostojności

⁵⁸ kontempt (z łac.) – obraza, pogarda, lekceważenie. [przypis edytorski]

i słowem w imieniu króla zaręczyć, że on ni państwa zamojskiego, ni tej twierdzy zajmować na stałe nie myśli. Ale gdy wojna w całym tym nieszczęsnym kraju rozgorzała na nowo, gdy bunt głowę podniósł, a Jan Kazimierz, niepomny na klęski, które na Rzeczpospolitą spaść mogą, swojej tylko dochodząc fortuny, znowu w granice powrócił i łącznie z pogany przeciw chrześcijańskim wojskom naszym występuje, postanowił niezwyciężony król i pan mój choćby do dzikich stepów tatarskich i tureckich go ścigać, w tym jedynie celu, aby spokój krajowi, panowanie sprawiedliwości i szczęście a wolność obywatelom tej prześwieatnej Rzeczypospolitej przywrócić.

Starosta kałuski uderzył się ręką po kolanie, ale nie odrzekł ni słowa, jeno Zagłoba szepnął:

– Diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni.

– Liczne już spłynęły na ten kraj z protekcji królewskiej dobrodziejstwa – mówił dalej Forgell – lecz najjaśniejszy król, mniemając w ojcowskim swym sercu, że nie dość jeszcze uczynił, znowu prowincji swej pruskiej odbieżał, aby mu jeszcze raz iść na ratunek, któren⁵⁹ na pokonaniu Jana Kazimierza polega. Aby jednak nowa ta wojna prędki a szczęśliwy koniec wziąć mogła, potrzebne jest jego królewskiej mości nieodbicie⁶⁰ czasowe zajęcie tej twierdzy, ona bowiem ma stać się dla wojsk jego królewskiej mości ostoją, z której pościg za buntownikami będzie czyniony. Lecz słysząc, że ten, który Zamościa jest

⁵⁹ *któren* – dziś popr. który. [przypis edytorski]

⁶⁰ *nieodbicie* – koniecznie. [przypis edytorski]

panem, nie tylko bogactwy⁶¹, nie tylko starożytnością rodu, dowcipem⁶², wspaniałym umysłem, ale i miłością do ojczyzny wszystkich przewyższa, zaraz król i pan mój rzekł: „Ten mnie zrozumie, ten intencje moje dla tej krainy ocenić potrafi, ufności mojej nie zawiedzie, nadzieje przewyższy, do szczęścia i spokoju tego kraju pierwszy rękę przyłoży”. Jakoż tak jest! Jakoż od ciebie, panie, zależą przyszłe losy tej ojczyzny. Ty ją ratować i ojcem jej stać się możesz... Przeto nie wątpię, iż to uczynisz. Kto sławę taką po przodkach dziedziczy, ten nie powinien omijać sposobności, aby ją powiększyć i nieśmiertelną uczynić. Zaiste, więcej dobrego sprawisz otworzeniem bram tej twierdzy, niż gdybyś całą prowincję do Rzeczypospolitej przyłączył. Król ufa, panie, że niepowszednia mądrość twa na równi z sercem do tego się skłonią, dlatego rozkazywać nie chce – prosić woli; groźby odrzuca, przyjaźń ofiaruje; nie jako władca z podległym, lecz jako potężny z potężnym traktować pragnie.

Tu jenerał Forgell skłonił się panu staroście z takim uszanowaniem jakby udzielnemu monarsze i umilkł. W sali uczyniła się też cisza. Wszystkie oczy utkwione były w starostę.

On zaś kręcić się począł, wedle zwyczaju, na swoim pozłocistym krześle, usta nadymać i srogą fantazję okazywać, wreszcie łokcie rozszerzył, dłonie wsparł na kolanach i rzucając głową jak narowisty koń, tak począł:

– Ot, co jest! Wielcem ja wdzięczny jego szwedzkiej jasności

⁶¹ *bogactwy* – dziś popr. forma N. lm: bogactwami. [przypis edytorski]

⁶² *dowcip* (daw.) – rozum, inteligencja. [przypis edytorski]

za górne mniemanie, jakie ma o moim dowcipie i o afektach dla ojczyzny. Nic mi też miłszego jak przyjaźń takowego potentata. Ale myślę, że tak samo moglibyśmy się miłować, gdyby jego szwedzka jasność sobie w Sztokholmie zostawała, a ja w Zamościu – co? Bo Sztokholm jego szwedzkiej jasności, a Zamość mój! Co się afektów dla Rzeczypospolitej tyczy – i owszem! – jeno, wedle mego konceptu, nie wtedy będzie Rzeczypospolitej lepiej, kiedy Szwedzi będą do niej szli, ale wtedy, kiedy sobie z niej pójdą. Ot, racja! Bardzo w to wierzę, iż Zamość mógłby jego szwedzkiej jasności do wiktorii nad Janem Kazimierzem dopomóc, wszelako trzeba, żebyś i wasza dostojność wiedział, że ja nie jego szwedzkiej mości, jeno właśnie Janowi Kazimierzowi przysięgałem, dlatego jemu wiktorii życzę, a Zamościa nie dam! Ot co!

– To mi polityka! – huknął Zagłoba.

W sali uczynił się szmer radosny, lecz pan starosta trzepnął się rękoma po kolanach i owe gwary uciszył.

Forgell zmieszał się i milczał przez chwilę, po czym znowu argumentować począł: więc nalegał, trochę groził, prosił, pochlebiał. Jako patoka⁶³ płynęła z ust jego łacina, aż krople potu uperliły mu czoło, lecz wszystko na próżno, bo po swych najlepszych argumentach, tak silnych, że mury poruszyć by mogły, słyszał zawsze jedną odpowiedź:

– A ja tak i Zamościa nie dam, ot co!

Audiencja przeciągnęła się nad miarę, na koniec stała

⁶³ *patoka* – płynny miód. [przypis edytorski]

się dla Forgella kłopotliwą i trudną, bo wesołość poczyniała ogarniać obecnych. Coraz to częściej padało jakieś słowo, jakieś szyderstwo to z ust Zagłoby, to z innych, po którym przytłumione śmiechy odzywały się w sali. Spostrzegł wreszcie Forgell, że trzeba ostatecznych chwycić się sposobów, więc rozwinął pergamin z pieczęciami, który trzymał w ręku, a na który nikt dotąd nie zwracał uwagi, i powstawszy rzekł uroczystym, dobitnym głosem:

– Za otwarcie bram twierdzy jego królewska mość (tu znów długo wymieniał tytuły) ofiaruje waszej książęcej mości województwo lubelskie w dziedziczne władanie!

Zdumieli się, słysząc to, wszyscy, zdumiał się na chwilę i pan starosta. Już Forgell począł toczyć tryumfującym wzrokiem dokoła, gdy nagle wśród ciszy głuchej ozwał się po polsku do starosty stojący tuż za nim pan Zagłoba:

– Ofiaruj, wasza dostojność, królowi szwedzkiemu w zamian Niderlandy.

Pan starosta nie namyślał się długo, uderzył się rękoma w boki i palnął na całą salę po łacinie:

– A ja ofiaruję jego szwedzkiej jasności Niderlandy!

W tej samej chwili sala zabrzmiała jednym ogromnym śmiechem. Trząść się poczęły brzuchy i pasy na brzuchach; jedni klaskali w ręce, drudzy zataczali się jak pijani, inni opierali się o sąsiadów, i śmiech brzmiał ciągle. Forgell blady był; brwi zmarszczył groźnie, lecz czekał, z ogniem w źrenicach i głową dumnie wzniesioną. Na koniec, gdy paroksyzm śmiechu

przeszedł, spytał krótkim, urywanym głosem:

– Czy to ostatnia waszej dostojności odpowiedź?

Na to pan starosta pokręcił węża.

– Nie! – odrzekł, podnosząc jeszcze dumniej głowę – bo mam armaty na murach!

Poselstwo było skończone.

W godzin dwie później zagrzmiały działa z szaniec szwedzkich, a zamojskie odpowiedziały im z równą siłą. Cały Zamość okrył się dymem, jakby chmurą niezmierną, tylko raz po raz łyskało w owej chmurze i grzmot huczał nieustanny. Lecz wnet ogień z ciężkich fortecznych śmigownic przemógł. Szwedzkie kule padały w fosę lub odbijały się bez skutku o potężne anguły; pod wieczór nieprzyjaciół musiał się cofać z bliższych szaniec, twierdza bowiem zasypywała je takim gradem pocisków, że żywy duch wytrzymać nie mógł. Uniesiony gniewem król szwedzki kazał zapalić wszystkie okoliczne wsie i miasteczka, tak że okolica wyglądała w nocy jak jedno morze ognia, lecz pan starosta ani o to dbał.

– Dobrze – mówił – niechże palą! My mamy dach nad głową, ale im rychło za kołnierz naleci.

I tak był kontent ze siebie samego a wesół, że tego jeszcze dnia wspaniałą ucztę wyprawiwszy, do późna kielichami się bawił. Huczna kapela grała do uczt tak gromko, że mimo huku dział słyszać ją było aż w najdalszych szaniach szwedzkich.

Lecz i Szwedzi strzelali wytrwale, a nawet tak wytrwale, że ogień trwał przez całą noc. Drugiego dnia przyszło królowi

kilkanaście dział, które ledwie że wciągnięto na szanice, wnet poczęły przeciw twierdzy pracować. Nie spodziewał się król wprawdzie zgruchotać murów, chciał tylko wpoić w starostę przekonanie, że postanowił szturmować zaciekle i nieubłaganie. Pragnął przerazić; ale były to strachy na Lachy. Pan starosta ani przez chwilę w nie nie uwierzył i często pokazując się na murach, mówił w czasie największej strzelaniny:

– Po co oni prochy psują?!

Pan Wołodajowski i inni oficerowie prosili się na wycieczkę, lecz pan starosta nie pozwolił; nie chciał po prostu darmo krwi marnować. Wiedział zresztą, że trzeba by było chyba stoczyć bój otwarty, bo tak przezorny wojownik, jak król szwedzki, i taka wyćwiczona armia nie dadzą się zejść niespodzianie. Zagłoba, widząc stałe postanowienie starościńskie w tym względzie, tym bardziej nalegał i zaręczał, że sam wycieczkę poprowadzi.

– Zbyt waszmość jesteś krwi chciwy! – odpowiedział pan Sobiepan. – Nam dobrze, Szwedom źle, przecz⁶⁴ mamy do nich chodzić? Waszmość polec możesz, a tyś mi jako konsyliarz⁶⁵ potrzebny, bo waściny to dowcipem takim Forgella skonfundował⁶⁶, o Niderlandach wspomniawszy.

Pan Zagłoba odpowiedział, że nie może wytrzymać w murach, tak mu do Szwedów pilno, lecz słuchać musiał.

Więc w braku innego zajęcia czas spędzał na murach

⁶⁴ *priecz* (daw.) – po co. [przypis edytorski]

⁶⁵ *konsyliarz* (z łac.) – doradca. [przypis edytorski]

⁶⁶ *skonfundować* (z łac.) – zbić z tropu, zawstydzić. [przypis edytorski]

między żołnierstwem, przestróg i rad z powagą udzielając, których wszyscy z niemałym szacunkiem słuchali, mając go za wojownika wielce doświadczonego i jednego w Rzeczypospolitej z najprzedniejszych. A on radował się w duszy, patrząc na obronę i na fantazję rycerską.

– Panie Michale! – mówił do Wołodyjowskiego – inny już duch w Rzeczypospolitej i w szlachcie, inne czasy. Nikt już o zdradzie i o poddaniu się nie myśli, a każdy⁶⁷ z życzliwości dla Rzeczypospolitej i majestatu gotów wprzód gardło dać, nim krokiem nieprzyjacielowi ustąpi. Pamiętasz, jako to rok temu ze wszystkich stron się słyszało: ten zdradził! ów zdradził, ów protekcję przyjął, a ninie Szwedzi już więcej od nas protekcji potrzebują, których jeśli diabeł nie poproteguje, to ich wkrótce weźmie. Bo my tu mamy brzuchy tak pełne, że dobosze mogliby na nich bębnić, im zaś głód kiszki szlamuje i na bicz skręca.

Pan Zagłoba miał słuszość. Armia szwedzka nie miała ze sobą zapasów żywności i dla ośmnastu tysięcy ludzi, nie licząc koni, nie było skąd ich dostać, pan starosta bowiem, jeszcze przed przyjściem nieprzyjaciela, pościagał na kilkanaście mil wkoło ludzką i końską spyżę⁶⁸ ze wszystkich swych majątności. W dalszych zaś okolicach kraju roiły się oddziały konfederackie, kupy zbrojnego chłopstwa, tak że podjazdy z obozu po żywność wychodzić nie mogły, bo tuż za obozem pewna śmierć czekała.

Do tego pan Czarniecki nie poszedł na Zawisłe, ale znów

⁶⁷ *każden* – dziś popr.: każdy. [przypis edytorski]

⁶⁸ *spyża* (daw.) – prowiant, żywność. [przypis edytorski]

krażył koło szwedzkiej armii jak dziki zwierz koło owczarni. Rozpoczęły się znów nocne alarmy, przepadanie bez wieści mniejszych oddziałów. Wedle Kraśnika pojawiły się jakieś wojska polskie, które komunikację z Wisłą przecięły. Na koniec przyszła wieść, że pan Paweł Sapieha z potężną armią litewską idzie z północy, że po drodze mimochodem stał załogę w Lublinie, Lublin wziął i komunikiem⁶⁹ dąży ku Zamościowi.

Widział całą okropność położenia najdoświadczeńszy z wodzów szwedzkich, stary Wittenberg⁷⁰, i otwarcie przedstawił ją królowi.

– Wiem – mówił – że geniusz waszej królewskiej mości cuda potrafi, ale po ludzku rzeczy biorąc, głód nas weźmie, a gdy nieprzyjaciół na wycieńczonych nastąpi, żywa noga z nas nie ujdzie.

– Gdybym tę twierdzę posiadał – odparł król – we dwa miesiące wojnę skończę.

– Na taką twierdzę rok oblężenia mało.

Król w duszy przyznawał słuszność staremu wojownikowi, nie przyznał się tylko przed nim do tego, że i sam środków nie widzi, że jego geniusz wyczerpany.

Lecz liczył jeszcze na jakiś niespodziany wypadek – więc kazał strzelać dzień i noc.

⁶⁹ *ić komunikiem* (daw.) – jechać konno, wierzchem, bez wozów i piechoty; *komunik* (daw.) – jeździec, kawalerzysta. [przypis edytorski]

⁷⁰ *Wittenberg* – Arvid (a. Arfuid) Wittenberg von Debern (1606–1657), szwedzki hrabia i feldmarszałek, uczestnik wojny trzydziestoletniej i potopu szwedzkiego. [przypis edytorski]

– Ducha w nich pognębie, do układów będą łatwiejsi – mówił.

Po kilku dniach strzelaniny tak zacieklej, że świata spoza dymu nie było widać, posłał znów Forgella do twierdzy.

– Król i pan mój – rzekł, stanąwszy przed starostą, generał – liczy na to, że szkody, jakie Zamość ponieść od naszych dział musiał, zmiękczyć wyniosły waszej książęcej mości umysł i do układów go skłonią.

A na to pan Zamoyski:

– Owszem! tak!... szkody są... Czemu nie ma być! Zabiliście świnie w rynku, którą złam granatu w żywot⁷¹ ugodził. Strzelajcie jeszcze tydzień, a może zabijecie drugą...

Forgell poniósł tę odpowiedź królowi. Wieczorem odbyła się znów narada w kwaterze królewskiej i nazajutrz poczęli Szwedzi pakować namioty na wozy i ściągać działa z szanieców... a w nocy ruszyło całe wojsko.

Zamość grzmiał za nimi ze wszystkich dział, a gdy już znikli z oczu, wyszły przez południową bramę dwie chorągwie, Szemberkowa z laudańską – i poszły w trop.

Szwedzi ciągnęli ku południowi. Wittenberg radził wprowadzić, by wracać ku Warszawie, i ze wszystkich sił przekonywał, że to jedyna droga zbawienia, lecz szwedzki Aleksander postanowił koniecznie ścigać do ostatnich krańców państwa polskiego Dariusza⁷².

⁷¹ żywot (daw.) – brzuch. [przypis edytorski]

⁷² szwedzki Aleksander (...) polskiego Dariusza – nawiązanie do historii starożytnej, do zwycięskiej wojny władcy macedońskiego Aleksandra Wielkiego (356–323 p.n.e.)

Rozdział IV

Wiosna roku tego dziwnymi chodziła drogami, bo gdy na północy Rzeczypospolitej potajały już śniegi i puściły zdrętwiałe rzeki, a cała kraina spływała marcową wodą, na południu od gór szło jeszcze na pola, na wody i bory lodowate tchnienie zimy. W lasach leżały zaspy, zmarznięte drogi tętniły pod kopytami koni, dnie były suche, zachody słońca czerwone, a noce gwiaździste i mroźne. Lud siedzący na żyznych glinach, na czarnoziemiu i na borowinie Małopolski, cieszył się z owej stateczności chłodów, twierdząc, że wyginą od nich myszy polne i Szwedzi. Lecz wiosna, o ile nie przychodziła długo, o tyle potem nastąpiła tak nagle, jak pancerna chorągiew idąca do ataku na nieprzyjaciela. Słońce sypnęło z nieba żywym ogniem i wraz pękła zimowa skorupa; od węgierskich stepów przyleciał wiatr duży a ciepły i jął chuchać na łąki, pola i puszcze. Wnet też wśród kałuż świecących zaczerniała orna ziemia, ruń⁷³ zielona strzeliła na niskich porzeczach⁷⁴, a lasy poczęły płakać łzami z roztopionej okiści⁷⁵.

Na pogodnym wciąż niebie codziennie widać było sznury żurawi, dzikich kaczek, cyranek i gęsi. Przyleciały bociany na

⁷³ *ruń* – tu: roślinność, trawy. [przypis edytorski]

⁷⁴ *porzeczce* – łąka nad rzeką. [przypis edytorski]

⁷⁵ *okiść* – ciężki śnieg na gałęziach drzew. [przypis edytorski]

zeszłoroczne koła, a podstrzesza⁷⁶ zaroily się jaskółkami, rozległ się świegot ptactwa przy wsiach, wrzaski po lasach i stawach, a wieczorami cała kraina brzmiała rzechotem i kumkaniem żab pływających się z rozkoszą w wodzie.

Za czym przyszyły dżdże wielkie, a jakoby ugrzane, i padały dniem, padały nocą, bez przerwy.

Pola zmieniały się w jeziora, rzeki wezbrały, brody stały się nieprzebyte, nastąpiła „klejowatość i niesposobność dróg błotnistych”.

Wśród tych wód, błot i topieli wlokły się wciąż ku południowi zastępy szwedzkie.

Lecz jakże mało ów tłum, idący jakby na zatracenie, podobny był do owej świetnej armii, która swego czasu wkroczyła pod Wittenbergiem⁷⁷ do Wielkopolski. Głód powyciskał sine pieczęcie na twarzach starych wojowników; więc szli, do mar niż do ludzi podobniejsi, w zmartwieniu, trudzie, bezsenności, wiedząc, że na końcu drogi nie jadło ich czeka, ale głód, nie sen, lecz bitwa, a jeśli odpoczynek, to chyba odpoczynek śmierci.

Przybrane w żelazo kościotrupy jeźdźców siedziały na kościotrupach koni. Piechurowie zaledwie nogi wlekli, zaledwie drżącymi rękoma mogli utrzymać dzidy i muszkiety. Dzień uchodził za dniem, oni ciągle szli naprzód. Wozy łamały się,

⁷⁶ *podstrzesze* – miejsce pod okapem dachu. [przypis edytorski]

⁷⁷ *Wittenberg* – Arvid (a. Arfuid) Wittenberg von Debern (1606–1657), szwedzki hrabia i feldmarszałek, uczestnik wojny trzydziestoletniej i potopu szwedzkiego. [przypis edytorski]

armaty grzęzły w topieli; szli tak wolno, że czasem ledwie przez cały dzień milę ujść zdołali. Choroby rzuciły się na żołnierzy jak kruki na trupa; jedni szczękali zębami z febry, drudzy kładli się po prostu z osłabienia na ziemi, wołąc umierać niż iść dalej.

Lecz szwedzki Aleksander ścigał wciąż polskiego Dariusza.

Jednocześnie zaś sam był ścigany. Jak za chorym bawołem idą nocą szakale, czekając, rychło z nóg się zwali, a on wie, że padnie, i słyszy już wycia głodnego stada, tak za Szwedami szły „partie” szlacheckie i chłopskie, coraz bliżej następując, coraz zuchwalej napadając i szarpiąc.

Wreszcie nadciągnął najstraszniejszy ze wszystkich Czarniecki i szedł tuż. Tylne straże szwedzkie, ile razy obejrzały się za siebie, widziały zawsze jeźdźców, czasem daleko na krańcu widnokregu, czasem o staje⁷⁸, czasem o dwa strzały z muszkietu, czasem, gdy atakował, nad samym karkiem.

Nieprzyjaciel chciał bitwy. Z rozpaczą modlili się o nią Szwedzi do Pana Zastępów, lecz Czarniecki bitwy nie przyjmował: czekał pory – tymczasem wołał szarpać lub puszczać z ręki pojedyncze partie, jakby sokoły na ptastwo wodne.

I tak szli jedni za drugimi. Bywały wszelako chwile, w których pan kasztelan kijowski mijał Szwedów, wysuwał się naprzód i przecinał im drogę, symulując, że staje do walnej rozprawy. Wówczas trąby grały radośnie z jednego końca

⁷⁸ *staje* – daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

szwedzkiego obozu w drugi i, o cudzie! – nowe siły, nowy duch zdawał się nagle ożywiać strudzone szeregi Skandynawów. Chorzy, zmoknięci, bezsilni, do Łazarzów⁷⁹ podobni, stawali nagle do bitwy z płonącym licem, z ogniem w źrenicach. Dzidy i muszkiety poruszały się z taką dokładnością, jakby żelazne władały nimi ręce, krzyki wojenne rozlegały się tak gromko, jakby z najzdrowszych wychodziły piersi – i szli naprzód, by piersią o pierś uderzyć.

Więc pan Czarniecki uderzał raz i drugi, lecz gdy zagrzmiały armaty, cofał wojska na boki, zostawując Szwedom w zysku tylko trud próżny, tylko większy zawód i zniechęcenie.

Natomiast, gdzie armaty nadażyć nie mogły, a dzida i szabla miały w otwartym polu rozstrzygać, tam uderzał jak piorun, wiedząc, że w ręcznej walce jazda szwedzka nawet wolentarzom⁸⁰ nie wytrzyma.

I znów Wittenberg począł wnosić instancję do króla, by się cofał, aby siebie i wojska nie gubił, lecz on w odpowiedzi zaciął usta, ogniem sypał z oczu i ukazywał ręką na południe, gdzie w ruskich krainach spodziewał się znaleźć Jana Kazimierza, otwarte do zwycięstw pole, spoczynek, żywność, paszę dla koni i łup bogaty.

Tymczasem, na dobitkę nieszczęścia, te polskie pułki, które

⁷⁹ Łazarz – nieboszczyk wskrzeszony przez Jezusa Chrystusa po kilku dniach spoczywania w grobie. [przypis edytorski]

⁸⁰ wolentarz – ochotnik, żołnierz nieotrzymujący żołdu, walczący w imię swoich przekonań lub dla łupów wojennych. [przypis edytorski]

służyły mu dotąd, a teraz jedynie mogły jako tako stawiać czoło krokom Czarnieckiego, poczęły opuszczać Szwedów. Więc podziękował pierwszy za służbę pan Zbrozek, którego nie chęć zysku, ale ślepe przywiązanie do chorągwi i wierność żołnierska trzymały dotąd przy Karolu. Podziękował w ten sposób, że poszarpał pułk dragonów Millera⁸¹, połowę ludzi w pień wyciął i poszedł. Po nim podziękował pan Kaliński, po piechocie szwedzkiej przejechawszy. Sapieha stawał się co dzień posepniejszy, coś w duszy przeżuwał, coś knował. Sam dotąd nie odszedł, ale ludzie co dzień mu uciekali spod chorągwi.

Szedł więc Karol Gustaw na Narol, Cieszanów i Oleszyce, aby się do Sanu dostać. Podtrzymywała go nadzieja, że Jan Kazimierz zabieży mu drogę i bitwę stoczy. Jeszcze zwycięstwo mogło losy szwedzkie poprawić i odmianę fortuny sprowadzić. Jakoż rozeszły się pogłoski, że Jan Kazimierz ruszył ze Lwowa z kwarcianym wojskiem i Tatarami. Lecz rachuby Karolowe zawiodły, Jan Kazimierz wołał bowiem czekać na skupienie się wojsk i nadejście Litwy pod Sapiehą. Zwłoka była mu najlepszym sprzymierzeńcem, bo on rósł z każdym dniem w siły, Karol zaś z każdym dniem stawał się słabszy.

– Nie wojsko to idzie ani armia, ale kondukt pogrzebowy! – mówili starzy wojownicy w Kazimierzowym otoczeniu.

Zdanie to dzieliło wielu oficerów szwedzkich.

⁸¹ *Miller* – Burchard Müller von der Lühnen (1604–1670), szwedzki wojskowy, generał, uczestnik m.in. wojny trzydziestoletniej, II wojny północnej i wojny polsko-szwedzkiej. [przypis edytorski]

Sam król powtarzał jeszcze, że do Lwowa idzie, lecz oszukiwał siebie i swoich. Nie do Lwowa mu było iść, lecz o własnym ratunku myśleć. Zresztą i to było niepewnym, czy Jan Kazimierz we Lwowie się znajduje, a w każdym razie mógł się cofnąć aż hen, na Podole, i wyprowadzić za sobą nieprzyjaciela w dalekie stepy, na których przysłoby Szwedom zginąć bez ratunku.

Poszedł Duglas⁸² pod Przemyśl spróbować, czyliby ta przynajmniej twierdza nie dała się zająć, i wrócił nie tylko z niczym, ale i poszarpany. Katastrofa zbliżała się z wolna, ale nieubłagane. Wszystkie wieści, jakie przychodziły do szwedzkiego obozu, były tylko jej zapowiedzią. Co dzień zaś nadchodziły nowe, coraz groźniejsze.

– Sapieha idzie, już jest w Tomaszowie! – powtarzano jednego dnia.

– Pan Lubomirski⁸³ wali z Podgórze z wojskiem i góralami! – mówiono nazajutrz.

I znów potem:

– Król wie dzie kwartę i sto tysięcy ordy! Z Sapieha się

⁸² *Duglas* – Douglas, Robert (1611–1662), Szkot, od 16 r. życia żołnierz armii szwedzkiej, feldmarszałek, uczestnik wojny trzydziestoletniej. Podczas potopu szwedzkiego dowodził wojskami szwedzkimi w Prusach Książęcych. Za zasługi wojenne otrzymał tytuł hrabiego, a jego potomkowie stali się jednym z najbogatszych rodów arystokratycznych Szwecji. [przypis edytorski]

⁸³ *Lubomirski*, Jerzy Sebastian herbu Szreniawa bez Krzyża (1616–1667) – marszałek wielki koronny, później hetman polny koronny i starosta spiski; w latach 60. przywódca rokoszu, który ograniczył absolutystyczne dążenia Jana Kazimierza; zmarł na wygnaniu. [przypis edytorski]

połączył!

Były między tymi „awizami klęski i śmierci” nieprawdziwe i przesadzone, ale wszystkie szerzyły przerażenie. Duch w armii upadł. Dawniej, ilekroć Karol własną osobą pojawiał się przed pułkami, tylekroć witały go okrzyki, w których brzmiała nadzieja zwycięstwa, teraz pułki stały przed nim głuche i nieme. Za to u ognisk zgłodniały i strudzony na śmierć żołnierz więcej szeptał o Czarnieckim niż o własnym królu. Widziano go wszędzie. I rzecz szczególna! Gdy przez parę dni nie zginął żaden podjazd, gdy kilka nocy upłynęło bez alarmów, bez okrzyków: „Ała!” i „Bij, zabij!” – niepokój powstawał jeszcze większy.

– Czarniecki ucichł. Bóg wie, co gotuje! – powtarzali żołnierze.

Karol zatrzymał się przez kilka dni w Jarosławiu, namyślając się, co ma począć. Przez ten czas ładowano na skutery chorych żołnierzy, których w obozie było mnóstwo, i wysyłano rzeką do Sandomierza, jako do najbliższego warownego grodu zostającego jeszcze w szwedzkim ręk. Po ukończeniu nowej roboty, gdy właśnie nadbiegły wieści o ruszeniu się Jana Kazimierza ze Lwowa, postanowił król szwedzki sprawdzić, gdzie istotnie Jan Kazimierz się znajduje.

W tym celu pułkownik Kanneberg z tysiącem jazdy przeszedł San i ruszył ku wschodowi.

– Być może, iż losy wojny i nas wszystkich masz w rękę – rzekł mu na odjeździe król.

A i naprawdę siła⁸⁴ od tego podjazdu zależało, albowiem w najgorszym razie powinien był Kanneberg zaopatrzyć obóz w prowiant: w razie zaś gdyby się na pewno wywiedziało, gdzie Jan Kazimierz się znajduje, miał król szwedzki natychmiast ruszyć z całą siłą przeciw „Dariuszowi polskiemu”, rozbić jego wojska, a zdarzy się, to i samego w ręce dostać.

Dano więc Kannebergowi najprzedniejszych żołnierzy i najlepsze konie. Czyniono wybór tym staranniej, że pułkownik nie mógł ze sobą brać ni piechoty, ni armat, musiał więc mieć takich ludzi, którzy by mogli w otwartym polu z szablą w ręku stawić czoło polskiej jeździe.

Dnia 20 marca podjazd wyszedł. Gdy przechodzili przez most, mnóstwo oficerów i żołnierzy żegnało ich przy naczółku: „Bóg prowadź! Bóg daj wiktoryę! Bóg daj szczęśliwy powrót!” Oni zaś szli długim sznurem, bo przecie było ich tysiąc, a szli dwójkami, po świeżo wykończonym moście, którego jedno przeszło, jeszcze nie ukończone, było jako tako dla nich pokryte deskami, ażeby tylko przejść mogli.

Dobra nadzieja świeciła im w twarzach, bo byli wyjątkowo syci. Innym odjęto, a ich nakarmiono, i gorzałki nalano im do manierek. Więc też, jadąc, pokrzykiwali wesoło i mówili do zgromadzonych przy naczółku żołnierzy:

– Czarnieckiego samego na powrozie wam sprowadzimy!

Głupi! nie wiedzieli, że szli, jak idą woły na rzeź do bydłobójni!

⁸⁴ *siła* (daw.) – dużo, wiele. [przypis edytorski]

Wszystko składało się na ich zgubę. Zaledwie przeszli, zaraz saperowie szwedzcy rozebrali po nich czasowy pomost, by silniejsze dawać belkowanie, po którym by i armaty mogły przechodzić. Oni zaś skręcili, śpiewając sobie z cicha, ku Wielkim Oczom, hełmy ich zabłysły jeszcze w słońcu na skrętach raz i drugi, następnie poczęli się zanurzać w bór gęsty.

Ujechali pół mili – nic! Cisza wkoło, głębiny leśne zdawały się być zupełnie puste. Więc stanęli, by dać oddech koniom, po czym ruszyli z wolna dalej. Na koniec dotarli do Wielkich Oczu, w których nie znaleźli żywego ducha.

Pustka ta zdziwiła Kanneberga.

– Widocznie spodziewano nas się tu – rzekł do majora Swena – ale Czarniecki musi być gdzie indziej, skoro nie urządził nam zasadzki.

– Czy wasza dostojność nakaze odwrót? – zapytał Sweno.

– Pójdziem naprzód, choćby pod sam Lwów, do którego niezbyt daleko. Musim języka⁸⁵ dostać i królowi o Janie Kazimierzu pewną wiadomość przywieźć.

– A jeśli na siły przeważne trafim?

– Choćbyśmy też spotkali i kilka tysięcy tej hałastry, którą oni pospolitym ruszeniem zowią, przecie z takimi żołnierzami nie damy się rozerwać.

– Ale możemy trafić i na regularne wojska. Nie mamy armat,

⁸⁵ *język* – tu: informator, żołnierz nieprzyjacielski, wzięty do niewoli w celu przesłuchania i zasięgnięcia informacji o wojskach wroga, ich liczebności, rozmieszczeniu i zamiarach. [przypis edytorski]

a armaty przeciw nim grunt.

– Tedy w porę się cofniem i królowi o nieprzyjacielu doniesiem. Tych zaś, którzy by nam chcieli odwrót przeciąć, rozbijem.

– Nocy się boję! – odpowiedział Sweno.

– Zachowamy wszelkie ostrożności. Spyży⁸⁶ dla ludzi i koni mamy na dwa dni, nie potrzebujem się spieszyć.

Jakoż gdy znowu zagłębili się w bór za Wielkimi Oczami, jechali nierównie ostrożniej. Pięćdziesiąt koni poszło naprzód. Ci jechali z gotowymi muszkietami w rękę, mając wsparte kolby na udach, i oglądali się bacznie na wszystkie strony. Badali zarośla, chaszczę, częstokroć przystawali, słuchając, czasem zjeżdżali z drogi w bok, by zbadać przybrzeżne głębie borowe, ni na drodze jednak, ni po bokach nie było nikogo.

Dopiero w godzinę później, minawszy skręt dość nagły, dwóch rajtarów⁸⁷ jadących w przodku ujrzało na czterysta kroków przed sobą jeźdźca na koniu.

Dzień był pogodny i słońce świeciło jasno, więc owego jeźdźca widać było jak na dłoni. Sam był żołnierz niewielki, przybrany bardzo przystojnie i z cudzoziemska. Wydawał się dlatego zwłaszcza tak mały, że siedział na rosnącym bułanym bachmacie, widocznie wielkiej krwi.

Jeździec jechał sobie z wolna, jakby nie widząc, że wojsko

⁸⁶ *spyża* – jedzenie, prowiant. [przypis edytorski]

⁸⁷ *rajtar* – średniozbrojny żołnierz konny, posługujący się w walce głównie bronią palną. [przypis edytorski]

za nim wali. Powodzie wiosenne powyrywały w drodze głębokie rowy, w których szumiała mętna woda. Owóz jeździec zdzierał przed rowami rumaka, a ten przesadzał je ze sprężystością jelenia i znów szedł truchtem, rzucając łbem i parszając od czasu do czasu rzeźwo.

Dwaj rajtarzy wstrzymali konie i poczęli się oglądać za wachmistrzem. Ten przyćlapał w tej chwili, popatrzył i rzekł:

– To jakiś ogar z polskiej psiarni.

– Krzyknę na niego! – rzekł rajtar.

– Nie krzykniesz. Może ich tu być więcej. Ruszaj do pułkownika!

Tymczasem nadjechała reszta przedniej straży i stanęli wszyscy, mały rycerz także zatrzymał konia i zwrócił go frontem do Szwedów, jakby im chciał drogę zagrozić.

Przez jakiś czas oni patrzyli na niego, on na nich.

– Jest i drugi! Drugi! trzeci! czwarty, cała kupa! – poczęto nagle wołać w szwedzkich szeregach.

Jakoż z obu stron drogi poczęli się sypać jeźdźcy, zrazu pojedynczo, potem po dwóch, po trzech. Wszyscy stawali obok owego, który pojawił się najpierwszy.

Lecz i druga straż szwedzka ze Swenonem, a potem cały oddział z Kannebergiem nadciągnęły do forpoczty. Kanneberg i Sweno wyjechali zaraz na czoło.

– Poznaję tych ludzi! – zawołał, ledwie spojrzawszy, Sweno – ta chorągiew pierwsza uderzyła na grafa Waldemara pod Gołębiem, to Czarnieckiego ludzie. On sam musi tu być!

Słowa te wywarły wrażenie, w szeregach nastąpiła cisza głęboka, jeno konie dzwoniły munsztukami⁸⁸.

– Wietrzę tu jakąś zasadzkę – mówił dalej Sweno. – Za mało ich, by nam stawiali czoło, ale po lasach muszą być ukryci drudzy.

Tu zwrócił się do Kanneberga:

– Wasza dostojność, wracajmy!

– Dobrze waść radzisz – odparł, marszcząc brwi, pułkownik.

– Warto było wyjeżdżać, jeżeli na widok kilkudziesięciu obszarpańców wracać mamy! – A czemuśmy na widok jednego nie wrócili?... Naprzód!

Szwedzki szereg poruszył się w tej chwili z największą dokładnością, za nim drugi, trzeci, czwarty. Przestrzeń między dwoma oddziałami zaczęła się zmniejszać.

– *Tuj!* – skomenderował Kanneberg.

Muszkiety szwedzkie poruszyły się jak jeden, żelazne szyje wyciągnęły się ku polskim jeźdźcom.

Lecz pierwej, nim zagrzmiały muszkiety, jeźdźcy polscy zawrócili konie i poczęli umykać bezładną kupą.

– Naprzód! – krzyknął Kanneberg.

Oddział ruszył z miejsca skokiem, aż ziemia zadrżała pod ciężkimi kopytami rajtarskich koni.

Las napełnił się krzykiem goniących i uciekających. Po kwadransie gonitwy, bądź że konie szwedzkie były lepsze,

⁸⁸ *munsztuk* – kielzno, element uprzęży, zakładany na pysk koński i służący do kierowania szczególnie nieposłusznym wierzchowcem. [przypis edytorski]

bądź że polskie jakowąś drogą pomęczone, dość, że przestrzeń dzieląca dwa wojska zaczęła się zmniejszać.

Lecz zarazem stało się coś dziwnego. Oto bezładna z początku kupa polska, w miarę trwania ucieczki, nie tylko nie rozpraszała się coraz bardziej, ale przeciwnie, uciekała w coraz lepszym ordynku⁸⁹, coraz równiejszymi szeregami, jak gdyby sama szybkość koni równała jeźdźców w szeregi.

Spostrzegł to Sweno, rozpuścił konia, dopadł do Kanneberga i począł wołać:

– Wasza dostojność! to nie zwykła partia, to regularny żołnierz, któren⁹⁰ umyślnie umyka i do zasadzki nas prowadzi.

– Zali⁹¹ diabli będą w tej zasadzce czy ludzie? – odrzekł Kanneberg.

Droga szła nieco w górę i stawała się coraz szersza, las rzedniał i na jego krańcu widać już było niezarosłe pole, a raczej ogromną polanę otoczoną ze wszystkich stron gęstym i szarym borem.

Chorągiew polska przyspieszyła z kolei biegu i okazało się, że poprzednio umyślnie szła tępo, teraz bowiem w krótkiej chwili odsadziła się tak daleko, że wódz szwedzki poznał, iż nigdy jej nie doścignie.

Dopadłszy zatem do połowy polany i spostrzegłszy, że nieprzyjacieli już niemal do drugiego jej końca dociera, począł hamować swoich ludzi i zwalniać biegu.

⁸⁹ *ordynek* (z niem. *Ordnung*) – porządek, szyk, szereg. [przypis edytorski]

⁹⁰ *któren* – dziś popr. *który*. [przypis edytorski]

⁹¹ *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

Lecz, o dziwo, polski oddział, zamiast utonąć w przeciwnym lesie, zatoczył na samym krańcu ogromne półkole i zwrócił się cwałem ku Szwedom, stanąwszy od razu w tak wspaniałym bojowym ordynku, że wzbudził podziw w samym nieprzyjacielu.

– Tak jest! – zawołał Kanneberg – to regularny żołnierz! Zawrócili jakoby na mustrze. Czego oni chcą?... do kroćset!

– Idą na nas! – krzyknął Sweno.

Jakoż chorągiew ruszyła naprzód rysią. Mały rycerz na bułanym bachmacie krzyczał coś na swoich, wysuwał się naprzód i znów wstrzymywał konia, szablą znaki dawał, widocznie on był dowódcą.

– Atakują naprawdę! – rzekł ze zdumieniem Kanneberg.

A pod tamtymi już konie wzięły pęd największy i potuliwszy uszy, wyciągnęły się tak, iż ledwie brzuchami nie dotykały ziemi. Jeźdźcy pochylili się na karki i skryli się za grzywą. Szwedzi, stojący w pierwszym szeregu, dostrzegli tylko setki rozwartych chrapów końskich i gorejących oczu. I wicher tak nie idzie, jako rwała ta chorągiew.

– Bóg z nami! Szwecja! Ognia! – skomenderował Kanneberg, podnosząc w górę szpadę.

Gruchnęły wszystkie muszkiety, lecz w tej samej chwili chorągiew polska wpadła w dym z taką siłą, że odrzuciła na prawo i lewo pierwsze szwedzkie szeregi i wbiła się w gęstwą ludzi i koni, jak klin wbija się w rozszczerzone drzewo. Uczynił się wir straszliwy, pancerz uderzał o pancerz, szabla o szablę,

a ów szcęk, kwik koński, lament konających mężów rozbudził wszystkie echa, tak że cały bór począł odzywać się bitwie, jako strome skały górskie odzywają się grzmotom.

Szwedzi zmieszali się przez chwilę, zwłaszcza że znaczna ich ilość padła od pierwszego uderzenia, lecz wnet ochłonawszy, wsiedli potężnie na nieprzyjaciół. Skrzydła ich zbiegły się ze sobą, a że chorągiew polska i bez tego parła naprzód, chciała bowiem przejść „szychem”, wnet otoczona została. Środek Szwedów ustępował przed nią, natomiast boki nacierały ją coraz silniej, nie mogąc jej wprawdzie rozerwać, bo broniła się zaciekle i z całą ową niezrównaną biegłością, która czyniła jazdę polską tak straszną w ręcznej bitwie. Pracowały więc szable przeciw rapierom, trup padał gęsto, lecz zwycięstwo już, już chyliło się na szwedzką stronę, gdy nagle spod ciemnej ściany boru wytoczyła się druga chorągiew i od razu ruszyła z krzykiem.

Całe prawe skrzydło szwedzkie zwróciło się natychmiast, pod wodzą Swena, czołem ku nowemu nieprzyjacielowi, w którym wprawni żołnierze szwedzcy poznali husarię.

Wiódł ją mąż siedzący na dzielnym tarantowym⁹² koniu, przybrany w burkę i rysi kołpak⁹³ z czaplim piórem. Widać go było doskonale, bo jechał z boku, o kilkanaście kroków od żołnierzy.

– Czarniecki! Czarniecki! – rozległy się wołania w szwedzkich szeregach.

⁹² *tarantowy* – o sierści białej w plamy. [przypis edytorski]

⁹³ *kołpak* – wysoka czapka bez daszka, z futrzanym otokiem. [przypis edytorski]

Sweno spojrział z rozpaczą w niebo, następnie ścisnął kolanami konia i ruszył ławą.

Pan Czarniecki zaś doprowadził husarzy na kilkanaście kroków i gdy szli już w największym pędzie, sam zawrócił.

Wtem od boru ruszyła trzecia chorągiew, on zaraz doskoczył do niej i doprowadził; ruszyła czwarta, doprowadził; buławą każdej pokazał, gdzie ma uderzyć, rzekłbyś: gospodarz prowadzący żniwiarzy i rozdzielający między nich robotę.

Na koniec, gdy wysunęła się piąta, sam stanął na czele i ruszył wraz z nią do bitwy.

Lecz już husaria odrzuciła w tył prawe skrzydło i po chwili rozerwała je zupełnie, trzy zaś następne chorągwie obskoczyły tatarską modą Szwedów i czyniąc krzyk, poczęły siec zmieszanych żelazem, bóść włóczniami, rozbijać, tratować, a wreszcie gnać wśród wrzasków i rzezi.

Kanneberg poznał, że wpadł w zasadzkę i jakoby pod nóż wyprowadził swój oddział; nie chodziło mu już o zwycięstwo, ale chciał przynajmniej jak największą liczbę ludzi ocalić, więc kazał trąbić na odwrót. Ruszyli zatem Szwedzi całym pędem ku tej samej drodze, którą od Wielkich Oczu przyjechali, czarniecczykowie zaś jechali na nich tak, że dech polskich koni ogrzewał szwedzkie plecy.

W tych warunkach i wobec przerażenia, jakie ogarnęło rajtarów, odwrót ów nie mógł odbywać się w porządku, lepsze konie wysforowały się naprzód i wkrótce świetny Kannebergowski oddział zmienił się w kupę uciekającą

bezlądnie i wycinaną niemal bez oporu.

Im pogoń dłużej trwała, tym stawała się bezładniejszą, bo i Polacy nie gonili w ordynku, ale każdy wypuszczał konia, ile pary w nozdrzach, dopadał, kogo chciał, bił, kogo chciał.

Pomieszali się więc jedni z drugimi. Niektórzy polscy żołnierze prześcignęli ostatnie szwedzkie szeregi i zdarzało się, że gdy towarzysz stawał na strzemionach, by tym potężniej ciąć uciekającego przed sobą rajtara, sam ginął pchnięty rapierem z tyłu. Usłała się gęstym szwedzkim trupem droga do Wielkich Oczu, lecz nie tu był termin gonitwy. I jedni, i drudzy wpadli tym samym impetem do następnego lasu, tam jednak zdrożone poprzednio konie szwedzkie poczęły ustawać i rzeź stała się jeszcze krwawsza.

Niektórzy rajtarowie poczęli zeskakiwać z koni i zmykać w las, lecz kilkunastu zaledwie to uczyniło, wiedzieli bowiem z doświadczenia Szwedzi, że w lasach czyhają chłopci, woleli więc ginąć od szabel niż w straszliwych mękach, których rozwścieczony lud im nie szczędził.

Inni prosili pardonu, po większej części na próżno, bo każdy wołał ściąć nieprzyjaciela i gnać dalej, niż wzięwszy go jeńcem, pilnować i dalszej gonitwy zaniechać.

Więc cięto bez miłosierdzia, aby nikt z wieścią o klęsce nie wrócił. Pan Wołodyjowski gonił w przodku z laudańską chorągwią. On to był owym jeźdźcem, który pierwszy ukazał się Szwedom na wabia, on pierwszy uderzył, a teraz siedząc na koniu jako wichur ścigłym, używał z całej duszy, pragnąc się krwią

nasycić i gołąbską klęskę pomścić. Coraz to doganiał rajtara, a dognawszy, gasił go tak prędko jako świecę; czasem zaś jechał na karku dwóch, trzech lub czterech, lecz krótko, bo po chwili już tylko konie bez jeźdźców biegły przed nim. Próżno niejeden Szwedzisko chwycił własny rapier za ostrze i zwracając go na znak pardonu rękojeścią ku rycerzowi, głosem i oczyma żebrał litości; pan Wołodujowski nawet nie zatrzymywał się nad nim, jeno wsunawszy mu sztych szabli tam, gdzie szyja piersi dotyka, zadawał cios lekki, nieznaczny, a ów ręce rozkładał, zbladłymi usty jedno i drugie słowo rzucił, po czym pograżał się w mroku śmierci.

Pan Wołodujowski zaś, nie oglądając się więcej, biegł dalej i nowe ofiary na ziemię strącał.

Zauważył straszego zniwiarza dzielny Sweno i skrzyknawszy kilkunastu co najdzielniejszych rajtarów, postanowił ofiarą własnego życia wstrzymać choć na chwilę pogoń, aby innych ocalić.

Zwrócili tedy konie i nastawiwszy rapiery, czekali z ostrzami na goniących. Pan Wołodujowski, widząc to, ani chwili się nie zawahał, wspiał konia i wpadł między nich w środek.

I nimby ktoś okiem zdołał mrugnąć, już dwa hełmy zapadły w dół konia. Przeszło dziesięć rapiarów zmierzyło się teraz w jedną pierś Wołodujowskiego, lecz w tej chwili wpadli za nim Skrzetuscy, Józwa Butrym Beznogi, pan Zagłoba i Roch Kowalski, o którym Zagłoba powiadał, że nawet idąc do ataku jeszcze, oczy ma zamknięte i drzemie, a budzi się dopiero, gdy

piersią o pierś nieprzyjaciela uderzy.

Pan Wołodyjowski zwinął się pod kulbakę⁹⁴ tak szybko, że rapiery puste powietrze przeszyły. Miał on ten sposób od białogrodzkich Tatarów⁹⁵, lecz małym, a zarazem nad ludzką wiarę zręcznym będąc, do takiej doskonałości go doprowadził, że niknął, kiedy chciał, z oczu, bądź za karkiem, bądź pod brzuchem końskim. Tak zniknął i teraz, a nim zdumieni rajtarzy zdołali zrozumieć, co się z nim stało, znów niespodzianie na kulbakę wychynał, straszny jak żbik, gdy między trwożne ogary z wysokich gałęzi skoczy.

Tymczasem i towarzysze mu pomogli, roznosząc śmierć i zamieszanie. Jeden z rajtarów przyłożył panu Zagłobie do samych piersi pistolet, lecz Roch Kowalski, mając go po lewej stronie, zatem nie mogąc ciąć szablą, złożył pięść i w głowę go mimochodem dojechał, a ten nurknął w tej chwili pod konia, tak właśnie, jakby weń piorun uderzył. Pan Zagłoba zaś wydawszy okrzyk radosny, ciął w skroń samego Swena, którego ręce opuścił i czołem wsparł się na karku końskim. Na ten widok pierzchnęli inni rajtarzy. Wołodyjowski, Józwa Beznogi i dwaj Skrzetuscy puścili się za nimi i wycięli, zanim ubiegli sto kroków.

I pogoń dalej trwała. Szwedzkie konie coraz mniej miały

⁹⁴ *kulbaka* – wysokie siodło. [przypis edytorski]

⁹⁵ *Tatarzy białogrodzcy* – Tatarzy mieszkający w Białogrodzie (a. Akermanie, dziś ukr.: *Biłhorod-Dnistrowski*), położonym nad limanem Dniestru, ok. 20 km od Morza Czarnego, na terenie dzisiejszej pld. Ukrainy, ok. 50 km na pld. zach. od Odessy. Miasto, założone w VI w. p.n.e. jako kolonia grecka, w XVII i XVIII w. znajdowało się w rękach tatarskich. [przypis edytorski]

tchu w piersiach i rozpierały się coraz częściej. Na koniec z tysiąca najświetniejszych rajtarów, którzy pod Kannebergiem wyszli, zostało zaledwie stu kilkudziesięciu jeźdźców, reszta leżała długim pasem na leśnej drodze. Lecz i ta ostatnia kupa zmniejszała się z każdą chwilą, gdyż ręce polskie nie przestały nad nią pracować.

Na koniec wypadli z lasu. Wieże Jarosławia zarysowały się wyraźnie na błękicie. Już, już nadzieja wstąpiła w serca uciekających, wiedzieli bowiem, że w Jarosławiu stoi sam król i cała potęga i że w każdej chwili może im przyjść w pomoc.

Zapomnieli o tym, iż zaraz po ich przejściu uprzątnięto pomost na ostatnim prześle mostu, aby silniejsze podłożyć dla armat belkowanie.

Pan Czarniecki zaś, czy wiedział o tym przez swoich szpiegów, czy też umyślnie chciał się królowi szwedzkiemu pokazać i na jego oczach dociąć reszty tych nieszczęśliwych, dość, iż nie tylko nie wstrzymał pogoni, ale sam z Szemberkową chorągwią naprzód skoczył, sam siekł, sam własną ręką ścinał – pędząc za kupą tak, jak gdyby tym samym pędem chciał na Jarosław uderzyć.

Na koniec dobiegli o staję⁹⁶ do mostu. Krzyki z pola doleciały do obozu szwedzkiego. Mnóstwo żołnierzy i oficerów wybiegło z miasta patrzeć, co się za rzeką dzieje. Ledwie spojrzeli – dostrzegli i poznali rajtarów, którzy rano wyszli z obozu.

⁹⁶ *staja* – daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

– Oddział Kanneberga! oddział Kanneberga!– poczęło krzyczeć tysiące głosów.

– W pień niemal wycięci! Ledwie sto ludzi bieży!

W tej chwili przygalopował sam król, a z nim Wittenberg, Forgell, Miller i inni jenerałowie.

Król pobladł.

– Kanneberg! – rzekł.

– Na Chrystusa i jego rany! Most nie wykończony! – zawołał Wittenberg – wytną ich do nogi!

Król spojrział na rzekę wezbraną wiosennymi wody; szumiała żółtą falą, o przeprawieniu pomocy wpław nie było co i myśleć.

Tamci zbliżali się coraz więcej.

Wtem znów poczęło krzyczeć:

– Wozy królewskie i gwardia nadciąga! Zginą i ci!

Jakoż zdarzyło się, że część królewskiego kredensu, ze stoma ludźmi pieszej gwardii, wynurzyła się w tej chwili inną drogą z przyległych lasów. Spostrzegłszy, co się dzieje, ludzie z eskorty w przekonaniu, że most gotowy, poczęli zdążać co sił ku miastu.

Lecz dostrzeżono ich z pola – za czym natychmiast ze trzysta koni ruszyło ku nim całym pędem, a na czele wszystkich leciał z szablą wzniesioną nad głową i ogniem w żrenicach pan dzierżawca z Wąsoszy, Rzędzian. Niewielkie dał on dotąd męstwa dowody, lecz na widok wozów, w których mógł znajdować się łup obfity, odwaga tak wezbrała w jego sercu, że wysforował się na kilkadziesiąt kroków przed innymi. Piechurowie przy wozach, widząc, że nie ujdą,

zwarli się w czworobok i sto muszkietów naraz skierowało się w piersi Rzędziana. Huk wstrząsnął powietrzem, wstęga dymu przeleciała wzdłuż ściany czworoboku, lecz nim dym się rozproszył, już pan dzierżawca przed ścianą wspiał konia tak, że kopyta przednie zawisły przez chwilę nad głowami rajtarów – i wpadł na kształt gromu w środek.

Lawina jeźdźców runęła za nim.

I jako gdy wilcy⁹⁷ zmogą konia, on żyje jeszcze i leżąc na grzbiecie, broni się rozpaczliwie kopytami, a one pokrywają go całkiem i drą zeń żywe kawały mięsa – tak owe wozy i piechurowie pokryci zostali zupełnie kłębiącą się masą koni i jeźdźców. Jeny krzyki straszne podnosiły się z tego wiru i dolatywały uszu Szwedów stojących na drugim brzegu.

A tymczasem jeszcze bliżej brzegu docinano reszty Kannebergowych rajtarów. Cała armia szwedzka wyległa jak jeden mąż na wysoki brzeg Sanu. Piechota, jazda, artyleria pomieszały się ze sobą – i patrzyli wszyscy, jakoby w dawnym cyrku rzymskim na widowisko, jeno patrzyli ze ściśniętymi ustami, z rozpaczą w piersi, w przerażeniu, w poczuciu bezsilności. Chwilami z piersi tych mimowolnych widzów wyrывał się krzyk straszny. Chwilami rozlegał się płacz powszechny, to znów zapadała cisza i słychać było tylko sapanie rozwścieczonych żołnierzy. Bo przecie ten tysiąc ludzi, który wyprowadził Kanneberg, stanowił czoło i dumę całej armii szwedzkiej; sami to byli weterani okryci sławą w Bóg wie ilu

⁹⁷ wilcy – dziś popr. forma M. lm: wilki. [przypis edytorski]

ziemiach i w Bóg wie ilu bitwach! A teraz oto biegali jak błędne stado owiec po obszernym przeciwległym błoniu, ginąc jak owce pod nożem rzeźniczym. Więc nie była to już bitwa, ale łowy. Straszni jeźdźcy polscy kręcili się jak zawierucha po bojomisku, krzycząc różnymi głosami i przebiegając rajtarom. Czasem za jednym pędziło kilku lub kilkunastu, czasem pojedynczy za pojedynczym. Niekiedy dognany Szwed pochylał się jeno na kulbace, by cios nieprzyjacielowi ułatwić, niekiedy przyjmował bitwę, lecz ginął najczęściej, bo na białą broń szwedzcy żołnierze nie mogli się mierzyć z wyćwiczoną we wszelakich fechtach szlachtą polską.

Lecz najokropniej srożył się między Polakami mały rycerzyk, siedzący na bułanym a ściągłym i zwrotnym jak sokół koniu. Zauważyło go wreszcie całe wojsko, bo kogo on pogonił, kto się z nim spotkał, ginął nie wiadomo jak i kiedy, tak małymi, tak nieznacznymi ruchami miecza strącał najtęższych rajtarów na ziemię. Na koniec dostrzegł samego Kanneberga, którego kilkunastu towarzystwa goniło, więc krzyknął na nich, rozkazem pogoń powstrzymał i sam na niego uderzył.

Szwedzi z drugiego brzegu wstrzymali dech w piersiach. Sam król się tuż do brzegu przysunął i patrzył z bijącym sercem, miotany jednocześnie trwogą i nadzieją, bo Kanneberg, jako pan wielki i królewski krewny, od dzieciństwa ćwiczony we wszelkiego rodzaju fechtach przez mistrzów włoskich, w walce na biały oręż nie miał równego sobie w armii szwedzkiej. Wszystkie więc oczy były teraz w niego utkwione i zaledwie

śmiały oddychać otwarte usta, on zaś widząc, że pogoń gromadna ustała, i chcąc po straceniu wojska sławę swą w oczach królewskich ratować, rzekł do swej duszy ponurej:

„Biada mi, jeśli wojsko wprzód wytraciwszy, krwią własną teraz hańby nie przypieczętuję lub jeśli życia nie okupię, tego straszego męża obaliwszy. Inaczej, choćby mnie dłoń Boga na tamtą stronę przeniosła, żadnemu Szwedowi w oczy spojrzeć bym nie śmiał!”

To rzekłszy, zwrócił konia i skoczył ku złotemu rycerzowi.

Że zaś ci jeźdźcy, którzy mu przebiegali od rzeki, usunęli się teraz, miał więc Kanneberg i tę nadzieję, że gdy pokona przeciwnika, dopadnie brzegu i w wodę skoczy, a potem – co będzie, to będzie; jeśli nie zdoła wzburzonych fal przepłynąć, to przynajmniej prąd go wraz z koniem daleko uniesie, a tam już jakiś ratunek bracia dla niego obmyślą.

Skoczył więc jak piorun ku małemu rycerzowi, a mały rycerz ku niemu. Chciał Szwed w przelocie wbić swój rapier aż po gardę pod pachę przeciwnika, lecz zaraz poznał, że sam mistrzem będąc, na mistrza również trafić musiał, bo szpada tylko ześliznęła się wzdłuż ostrza polskiej szabli, tylko zachwiała mu się jakoś dziwnie w ręku, jak gdyby mu nagle ramię zdrętwiało; ledwie się zdołał zastawić od ciosu, który mu rycerz następnie zadał; na szczęście, w tej chwili rozniosły ich konie we dwie przeciwne strony.

Zatoczyli tedy obaj kołem i zwrócili się jednocześnie, lecz wolniej jechali już na siebie, pragnąc więcej na spotkanie mieć

czasu i choć kilkakroć żelazo skrzyżować. Kanneberg zebrał się teraz w sobie, tak iż uczynił się podobny do ptaka, któremu dziób tylko potężny z nastroszonych piór wystaje. Znał on jedno niezawodne pchnięcie, w którym pewien Florentczyk go wyćwiczył, straszne, bo zwodnicze i niemal nieodbite, polegające na tym, że ostrze, skierowane niby w piersi, mijając bokiem zastawę, przeszywało gardło i wychodziło aż tyłem karku. Tego pchnięcia postanowił teraz użyć.

I pewien swego, zbliżał się, hamując coraz bardziej konia, a pan Wołodyjowski (on to był bowiem) nadjeżdżał ku niemu w drobnych skokach. Przez chwilę myślał, żeby białogrodzkim sposobem zniknąć nagle pod koniem, lecz że z jednym tylko mężem, i to na oczach obu wojsk miał się spotkać, więc choć zrozumiał, iż czeka go jakiś cios niespodziewany, wstyd mu było po tatarsku, nie po rycersku się bronić.

„Chcesz mnie, jako czapla sokoła, sztychem nadziać – pomyślał sobie – ale ja cię owym wiatraczkiem zażyję, który w Łubniach⁹⁸ jeszcze wykoncypowałem.”

I ta myśl wydała mu się na razie najlepszą, więc wyprostował się w kulbace, podniósł szabelkę i puścił ją w ruch podobny do ruchu śmig wiatraka, lecz tak szybki, iż powietrze poczęło świstać przeraźliwie.

A że zachodzące słońce grało mu na szabli, więc otoczyła

⁹⁸ *Łubnie* – miasto na Połtawszczyźnie, na śr.-wsch. Ukrainie, przed 1549 r. rezydencja książąt Wiśniowieckich, w 1655 r. znajdowało się na terytorium zajęтым przez Kozaków. [przypis edytorski]

go jakoby tarcza świetlana, migotliwa, on zaś uderzył ostrogami bachmata i runął na Kanneberga.

Kanneberg skurczył się jeszcze bardziej i prawie przywarł do konia, w mgnieniu oka związał rapier z szablą, nagle wysunął głowę jak wąż i pchnął okropnie.

Lecz w tej chwili zaszumiał straszliwy młyniec, rapier targnął się Szwedowi w rękę, ostrze uderzyło w pustą przestrzeń, natomiast wygięty koniec szabli małego rycerza spadł z piorunową szybkością na twarz Kanneberga, przeciął mu część nosa, usta, brodę, spadł na obojczyk, strzaskął go i zatrzymał się dopiero na idącym przez ramię pendencie⁹⁹.

Rapier wysunął się z rąk nieszczęsnego i noc objęła mu głowę, lecz nim spadł z konia, pan Wołodyjowski puścił szablę na sznurek i chwycił go za ramiona.

Zawrzaśli jednym wrzaskiem z drugiego brzegu Szwedzi, pan Zagłoba zaś przyskoczył do małego rycerza i rzekł:

– Panie Michale, wiedziałem, że tak będzie, alem był gotów cię pomścić!

– Mistrz to był – odpowiedział Wołodyjowski. – Bierz waść konia za uzdę, bo zacny!

– Ha! żeby nie rzeka, skoczyłoby się z tamtymi pohłasować! Pierwszy bym...

Dalsze słowa przerwał panu Zagłobie świst kul, więc nie dokończył myśli, natomiast krzyknął:

⁹⁹ *pendent* – pas zakładany przez ramię, służący do noszenia szabli. [przypis edytorski]

– Uchodźmy, panie Michale, ci zdrajcy postrzelić gotowi!

– Nie mają już te kule impetu – odrzekł Wołodyjowski – bo za daleko.

Tymczasem otoczyli ich inni jeźdźcy polscy, winszując Wołodyjowskiemu i patrząc nań z podziwem, a on tylko wąsikami raz po raz ruszał, bo także rad był z siebie.

Zaś na drugim brzegu, między Szwedami, wrzało jakby w ulu. Artylerzyści zataczali na gwałt armaty, więc i w pobliskich szeregach polskich ozwały się trąbki do odwrotu. Na głos ich skoczył każdy do swojej chorągwi, i w mig stanęły wszystkie w sprawie. Cofnęły się pod las i zatrzymały znowu, jakby miejsce nieprzyjacielowi zostawując i zapraszając go za rzekę. Wreszcie przed ławę ludzi i koni wyjechał na tarantowatym dzianecie mąż przybrany w burkę i czapkę z czaplim piórem, z pozłocistym buzdyganem¹⁰⁰ w ręku.

Widać go było doskonale, bo padały nań czerwone promienie zachodzącego słońca, i zresztą jeździł przed pułkami, jakby przegląd sprawując. Poznali go od razu wszyscy Szwedzi i poczęli krzyczeć:

– Czarniecki! Czarniecki!

On zaś gadał coś z pułkownikami. Widziano, jak dłużej zatrzymał się przy rycerzu, który Kanneberga usieknął, i rękę położył na jego ramieniu, po czym podniósł buzdygan i chorągwie zaczęły z wolna, jedna za drugą, zawracać ku borom.

¹⁰⁰ *buzdygan* (z tur.) – rodzaj broni, ozdobna pałka; w XVII w. symbol władzy oficera. [przypis edytorski]

Właśnie i słońce zaszło. W Jarosławiu dzwony ozwały się po kościołach, więc wszystkie pułki zaśpiewały jednym głosem, odjeżdżając: „Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pannie Marii”, i z tą pieśnią znikły Szwedom z oczu¹⁰¹.

¹⁰¹ *pułki zaśpiewały jednym głosem, odjeżdżając: „Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pannie Marii”, i z tą pieśnią znikły Szwedom z oczu* – modlitwa *Anioł Pański* jest tu jeszcze jednym symbolem przewagi nad Szwedami jako nieuznającymi kultu maryjnego luteranami. [przypis edytorski]

Rozdział V

Dnia tego położyli się Szwedzi spać, nic w usta nie biorąc i bez nadziei, aby mieli czym nazajutrz się posilić. Toteż od męki głodowej spać nie mogli. Nim drugi kur zapiał, znękanie żołnierstwo poczęło wymykać się z obozu pojedynczo i kupami na grasunek po wsiach przyległych do Jarosławia. Szli więc, do nocnych rabusiów podobni, ku Radymnu, Kańczudze, Tyczynowi – gdzie mogli i gdzie spodziewali się zastać coś do jedzenia. Otuchy dodawało im to, że Czarniecki był na drugiej stronie rzeki, ale choćby i przeprawić się już zdążył, woleli śmierć niż głód. Widocznie wielkie już było rozprężenie w obozie, bo około półtora tysiąca ludzi wysunęło się w ten sposób, wbrew najsurowszym rozkazom królewskim.

Poczęli więc grasować po okolicy, paląc, rabując, ścinając, lecz prawie nikt z nich nie miał powrócić do obozu. Czarniecki był wprawdzie z drugiej strony Sanu, lecz i z tej kręciły się różne partie szlacheckie i chłopskie; najpotężniejsza zaś pana Strzałkowskiego, złożona z bitnej szlachty górskiej, tej właśnie nocy przymknęła, jak na nieszczęście, do Próchnika. Ujrzawszy tedy łunę i usłyszawszy strzały, poszedł pan Strzałkowski, jakoby kto sierpem rzucił, prosto na gwar i napadł na zajętych rabunkiem. Bronili się silnie w opłotkach, lecz pan Strzałkowski rozerwał ich, wysiekł, nikogo nie żywił¹⁰². W innych wioskach

¹⁰² żywić – tu: pozostawiać przy życiu, darować życie. [przypis edytorski]

inne partie uczyniły toż samo, po czym w gonitwie za uciekającymi podsunęły się pod sam obóz szwedzki, roznosząc trwogę i zamieszanie, krzycząc po tatarsku, po wołosku, po węgiersku i po polsku, tak iż Szwedzi sądzili, że jakieś potężne wojska posiłkowe na nich następują, może chan z całą ordą.

Wszczęło się zamieszanie i – rzecz niebywała dotąd – popłoch, który z największym trudem udało się oficerom potłumić. Lecz król, który do rana przesiedział na koniu, widział, co się dzieje, zrozumiał, co z tego może wyniknąć, i zaraz rankiem zwołał radę wojenną.

Posępna owa narada niedługo trwała, bo nie było dwóch dróg do wyboru. Duch w wojsku upadł, żołnierz nie miał co jeść, nieprzyjaciel rósł w potęgę.

Szwedzki Aleksander, który obiecywał światu całemu gonić, choćby do tatarskich stepów, polskiego Dariusza, nie o gonitwie dalszej, ale o własnym ocaleniu musiał teraz myśleć.

– Sanem możem się wracać do Sandomierza, stamtąd Wisłą do Warszawy i do Prus – mówił Wittenberg. – W ten sposób zguby unikniem.

Duglas¹⁰³ za głowę się chwycił:

– Tyle zwycięstw, tyle trudów, tak olbrzymi kraj podbity, i wracać nam przychodzi!

¹⁰³ *Duglas* – Douglas, Robert (1611–1662), Szkot, od 16 r. życia żołnierz armii szwedzkiej, feldmarszałek, uczestnik wojny trzydziestoletniej. Podczas potopu szwedzkiego dowodził wojskami szwedzkimi w Prusach Książęcych. Za zasługi wojenne otrzymał tytuł hrabiego, a jego potomkowie stali się jednym z najbogatszych rodów arystokratycznych Szwecji. [przypis edytorski]

A Wittenberg na to:

– Maszli, wasza dostojność, jaką radę?

– Nie mam! – odrzekł Duglas.

Król, który dotąd nic nie mówił, wstał na znak, że posiedzenie skończone, i rzekł:

– Nakazuję odwrót!

Więcej tego dnia nie słyszano z jego ust ani słowa.

Bębny poczęły warczeć i trąby grać w szwedzkim obozie. Wieść, że odwrót nakazany, rozbiegła się w jednej chwili z końca w koniec. Przyjęto ją okrzykami radości. Przecie zamki i fortece były jeszcze w ręku Szwedów, w nich czekał wypoczynek, jedło, bezpieczeństwo.

Jenerałowie i żołnierze wzięli się tak gorliwie do przygotowań odwrotu, że aż gorliwość owa, jak zauważył Duglas, z hańbą graniczyła.

Samego Duglasa wysłał król w przedniej straży, aby trudne przeprawy naprawiał, lasy trzebił. Wkrótce za nim ruszyło całe wojsko szykiem jak do boju; front armaty zasłaniały, tył wozy utaborowane, po bokach szła piechota. Potrzeby wojenne i namioty płynęły rzeką na statkach.

Wszystkie te ostrożności nie były zbyteczne, ledwie bowiem tabor ruszył, już tylne straże szwedzkie dojrzały idących śladem jeźdźców polskich i odtąd niemal nigdy nie traciły ich z oczu. Czarniecki pościagał własne chorągwie, wszystkie partie okoliczne, posłał po nowe posiłki do króla i szedł w trop. Pierwszy nocleg w Przeworsku był zarazem pierwszym alarmem.

Oddziały polskie natarły tak blisko, iż kilka tysięcy piechoty wraz z działami musiano przeciw nim zwrócić. Przez chwilę sam król myślał, że Czarniecki naprawdę następuje, lecz on, swoim zwyczajem, wysyłał tylko oddziały za oddziałami. Te, podpadając, czyniły okrzyk i cofały się natychmiast. Noc do rana zesła na podobnych harcach, noc swarliwa, dla Szwedów bezsenna.

I cały pochód, wszystkie następne noce i dnie miały być do niej podobne.

Tymczasem znowuż Czarnieckiemu przysłał król dwie chorągwie jazdy, bardzo moderowanej¹⁰⁴, za tym i list, że wkrótce hetmani z komputowym wojskiem¹⁰⁵ ruszą, on zaś sam z resztą piechoty i orlą rychło za nimi pospieszy. Jakoż zatrzymywały go już tylko rokowania z chanem, z Rakoczym i z cesarzem. Czarniecki uradował się niepomiernie tą wieścią, i gdy nazajutrz rano Szwedzi ruszyli dalej, w klin między Wisłę i San, rzekł pan kasztelan do pułkownika Polanowskiego:

– Sieć nastawiona, ryby w matnię idą.

– A my uczynim jak ów rybak – rzekł Zagłoba – który im na fletni grał, żeby tańcowały, czego gdy nie chcą czynić, wyciągnął je na brzeg; tedy dopiero skakały, a on wziął je kijem razić mówiąc: „O, takie córki! trzeba było tańczyć, pókim prosił.”

Na to pan Czarniecki:

¹⁰⁴ *moderowany* – wyposażony, uzbrojony. [przypis edytorski]

¹⁰⁵ *wojsko komputerowe* – stałe wojsko zaciężne w XVII w. [przypis edytorski]

– Będą oni tańcowali, niech jeno pan marszałek Lubomirski¹⁰⁶ nadciągnie ze swoim wojskiem, które na pięć tysięcy liczą.

– Lada chwila go nie widać – rzekł pan Wołodyjowski.

– Przyjechało dziś kilku szlachty podgórskiej – ozwał się Zagłoba – ci zapewniają, że wielkimi i pilnymi drogami idzie, ale czy się zechce z nami połączyć, miast na swoją rękę wojować, to inna rzecz!

– Czemu to? – spytał pan Czarniecki, bystro patrząc na Zagłobę.

– Bo to człek nadzwyczajnej ambicji i o sławę zazdrosny. Znam go siłą¹⁰⁷ lat i byłem mu konfidentem¹⁰⁸. Poznałem go, gdy był młodym jeszcze panięciem, na dworze pana krakowskiego, Stanisława¹⁰⁹. Fechtów się wonczas od Francuzów i Włochów uczył i okrutnie się na mnie rozgniewał, gdym mu powiedział, że to kpy, z których żaden mi nie zdzierży. Uczyniliśmy parol¹¹⁰ i samem ich siedmiu jednego po drugim rozciągnął. On zaś ode mnie się dalej uczył nie tylko fechtów, ale i sztuki wojennej.

¹⁰⁶ *Lubomirski, Jerzy Sebastian herbu Szreniawa bez Krzyża* (1616–1667) – marszałek wielki koronny, później hetman polny koronny i starosta spiski; w latach 60. przywódca rokoszu, który ograniczył absolutystyczne dążenia Jana Kazimierza; zmarł na wygnaniu. [przypis edytorski]

¹⁰⁷ *siła* (daw.) – dużo, wiele. [przypis edytorski]

¹⁰⁸ *konfident* (z łac., przestarz.) – tu: zaufany przyjaciel, powiernik (dziś: donosiciel). [przypis edytorski]

¹⁰⁹ *pan krakowski, Stanisław* – Koniecpolski, Stanisław (1591–1646), hetman wielki koronny, kasztelan krakowski, uznawany za jednego z najwybitniejszych polskich wodzów. [przypis edytorski]

¹¹⁰ *parol* (z fr.) – słowo honoru; tu: zakład. [przypis edytorski]

Dowcip¹¹¹ miał z przyrodzenia trochę tępy, ale co umie, to ode mnie.

– Takież to z waści mistrz? – spytał Polanowski.

– *Exemplum*¹¹²: pan Wołodyjowski, drugi mój uczeń. Z tego mam prawdziwą pociechę.

– Prawda, żeś to waszmość Swena usiekł?

– Swena? Gdyby się to któremu z waszmościów zdarzyło, miałby przez całe życie co opowiadać, jeszcze by sąsiadów spraszał, by im przy winie jedno w kółko powtarzać, ale ja o to nie dbam, bo gdybym chciał wyliczać, mógłbym takimi Swenami drogę do samego Sandomierza wymościć. Może bym nie mógł? Powiedzcie, którzy mnie znacie.

– Mógłby wuj! – ozwał się Roch Kowalski.

Pan Czarniecki nie słyszał dalszego ciągu rozmowy, bo się głęboko nad słowami Zagłoby zamyślił. Znał i on ambicję pana Lubomirskiego i nie wątpił, że albo zechce mu swoją wolę narzucać, albo na własną rękę będzie działał, chociażby to szkodę Rzeczypospolitej przynieść miało.

Węc surowe jego oblicze sposepniało i począł brodę kręcić.

– Oho! – szepnął do Skrzetuskiego Jana Zagłoba – już tam Czarniecki coś gorzkiego żuje, bo mu się twarz do orłowej podobna uczyniła, rychło tu kogo podziobie.

Wtem pan Czarniecki ozwał się:

– Trzeba, by który z waszmościów z listem ode mnie do pana

¹¹¹ *dowcip* (daw.) – rozum, inteligencja. [przypis edytorski]

¹¹² *exemplum* (łac.) – przykład. [przypis edytorski]

Lubomirskiego pojechał.

– Jam mu znajomy i podejmuję się – rzekł pan Jan Skrzetuski.

– Dobrze – odparł wódz – im kto znamienitszy, tym lepiej...

Zagłoba zwrócił się do Wołodyjowskiego i znów szepnął:

– Już i przez nos mówi, znak to wielkiej alteracji¹¹³.

Rzeczywiście zaś pan Czarniecki miał srebrne podniebienie, bo mu je kula przed laty pod Buszą wyrwała. Owóz ilekroć był wzruszony, gniewny i niespokojny, zaczynał zawsze mówić ostrym i brzękliwym głosem.

Nagle zwrócił się teraz do Zagłoby:

– A może byś i waćpan z panem Skrzetuskim pojechał?

– Chętnie – odpowiedział Zagłoba. – Jeśli ja czego nie wskóram, nikt nie wskóra. Wreszcie do człeka tak wielkiego rodu we dwóch będzie przystojniej.

Czarniecki zacisnął wargi, szarpnął brodę i rzekł jakby sam do siebie:

– Wielkie rody... wielkie rody...

– Tego nikt panu Lubomirskiemu nie ujmie – zauważył Zagłoba.

A Czarniecki brwi zmarszczył:

– Rzeczpospolita sama jest wielka, a rodów w proporcji do niej nie masz wielkich, jeno małe, i bodaj ziemia pożarła takie, które o tym zapominają!

Umilkli wszyscy, bo bardzo potężnie przemówił, i dopiero po niejakej chwili Zagłoba rzekł:

¹¹³ *alteracja* (z łac.) – zmiana nastroju, niepokój, wzburzenie. [przypis edytorski]

– W proporcji do całej Rzeczypospolitej słusznie!

– Jam też nie z soli wyrósł ani z roli¹¹⁴, jeno z tego, co mnie boli – ozwał się Czarniecki – a boleli mnie Kozacy, którzy mi tę oto gębę przestrelili, a teraz boli mnie Szwed, i albo tę bolączkę przetnę, albo sam od niej szczepnę, tak mi dopomóż Bóg!

– I my dopomożem krwią naszą! – rzekł Polanowski.

Czarniecki zaś przeżuwał jeszcze czas jakiś gorycz, która wezbrała mu w sercu na myśl, że ambicja pana marszałka może mu w ratowaniu ojczyzny przeszkodzić, wreszcie uspokoił się i rzekł:

– Za czym i list trzeba pisać. Proszę waszmościów ze sobą.

Jan Skrzetuski i Zagłoba poszli za nim, a w pół godziny później siedli na koń i pojechali odwrotną drogą ku Radymnu, były bowiem wieści, że tam właśnie zatrzymał się pan marszałek z wojskiem.

– Janie – rzekł Zagłoba, macając się po kalecie¹¹⁵, w której wiozł list pana Czarnieckiego – uczyni mi łaskę i pozwól mnie samemu gadać do marszałka.

– A ojciec naprawdę go znałeś i fechtów go uczyłeś?

– I!... tak się jeno sobie mówiło dlatego, żeby się para w gębę nie zagrzała i żeby język nie rozmiękł, co się od przydłuższego milczenia snadnie przytrafić może. Ni go znałem,

¹¹⁴ *Jam też nie z soli wyrósł ani z roli* – słowa te miał wypowiedzieć Czarniecki, kiedy tytuł hetmana wielkiego przypadł Jerzemu Lubomirskiemu; jest to aluzja do źródeł bogactwa i wpływów Lubomirskich: żup solnych i rolnictwa, czemu Czarniecki przeciwstawiał własne zasługi wojskowe. [przypis edytorski]

¹¹⁵ *kalecie* – kieszeń a. sakiewka, torba. [przypis edytorski]

ni go uczyłem. Albo to nie miałem czego lepszego do roboty niż być niedźwiednikiem i uczyć pana marszałka, jako się na zadnich nogach chodzi? Ale to wszystko jedno. Przeznałem go na wylot z tego, co ludzie o nim powiadają, i potrafię go zagnieść jako kucharka kluski. Jeno o to jedno cię jeszcze proszę: nie powiadaj, że mam list od pana Czarnieckiego, i nie wspominaj nawet o nim, póki go sam nie oddam.

– Jakże to? Miałżebym funkcji, z którą mnie posłano, nie spełnić?! W życiu mi się to nie przygodziło i nie przygodzi. Nie może być! Chociażby i pan Czarniecki przebaczył, nie uczynię tego za skarb gotowy!

– To wyciągnę szablę i pęcinę twemu koniowi podetnę, żebyś za mną nie nadążył. Zali¹¹⁶ widziałeś kiedy, żeby chybiło to, com własną głową zamyślił? Gadaj! Żleś to wyszedł ty sam na Zagłobowych fortelach? Żle wyszedł pan Michał albo i twoja Halszka? albo i wy wszyscy, kiedym to was z rąk Radziwiłła wyłusknął? Powiadam ci, że z tego listu może być więcej złego niż dobrego, bo pan kasztelan pisał go w takiej alteracji, że ze trzy pióra złamał. Wreszcie, będziesz o nim gadał, gdy moje zamysły chybią; parol, że go sam wówczas oddam, ale nie prędzej.

– Byłem go mógł oddać, wszystko jedno kiedy.

– Więcej też nie potrzebuję! Hajda teraz, bo droga przed nami okrutna!

Popędzili tedy konie i puścili się w skok. Ale nie potrzebowali jechać długo, bo przednie straże marszałkowskie minęły już

¹¹⁶ *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

nie tylko Radymno, ale i Jarosław, on sam zaś znajdował się w Jarosławiu i stał w dawnej kwaterze króla szwedzkiego.

Znaleźli go przy obiedzie ze znaczniejszymi oficerami. Lecz gdy się opowiedzieli, Lubomirski kazał ich przyjąć natychmiast, bo ich nazwiska znał, gdyż głośne były owego czasu w całej Rzeczypospolitej.

Wszystkich oczy zwróciły się na nich, gdy weszli; patrzono zwłaszcza z podziwem i ciekawością na Skrzetuskiego, marszałek zaś, powitawszy ich wdzięcznie, spytał zaraz:

– Czy to sławnego rycerza mam przed sobą, który listy z obłożonego Zbaraża¹¹⁷ królowi przeniósł?

– Ja to się przekradłem – odrzekł pan Jan.

– Dajże mi Boże takich oficerów jak najwięcej! Niczego tak panu Czarnieckiemu nie zazdroszczę, bo zresztą wiem, że i moje małe zasługi w pamięci ludzkiej nie przepadną.

– A jam jest Zagłoba! – rzekł stary rycerz, wysuwając się naprzód.

Tu powiódł okiem po zgromadzeniu; marszałek zaś, jako to każdego chciał sobie ująć, zaraz zakrzyknął:

– Kto by nie wiedział o mężu, którego¹¹⁸ Burłaja, wodza *barbarorum*¹¹⁹, usiekł, którego Radziwiłłowi wojsko

¹¹⁷ Zbaraż – miasto w zachodniej części Ukrainy, ok. 20 km na pñ. wschód od Tarnopola; w obronie Zbaraża (1649) przed Kozakami Chmielnickiego i Tatarami brały udział wojska polskie pod komendą trzech regimientarzy i księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. [przypis edytorski]

¹¹⁸ *któren* – dziś popr. który. [przypis edytorski]

¹¹⁹ *barbarus* (łac.: brodaty) – barbarzyńca; tu D. lm *barbarorum*: barbarzyńców.

pobuntował...

– I panu Sapieże wojsko przywiodłem, które, prawdę rzekłszy, mnie, nie jego, wodzem sobie obrało – dodał Zagłoba.

– A żeś to wasza mość chciał, mogąc tak górną mieć szarżę, wyrzec się jej i u pana Czarnieckiego służbę przyjąć?

Na to Zagłoba łysnął okiem ku Skrzetuskiemu i odrzekł:

– Jaśnie wielmożny panie marszałku, od waszej to dostojności tak ja, jak i cały kraj przykład bierze, jak dla dobra publicznego wyrzekać się ambicji i prywaty.

Lubomirski pokraśniał z zadowolenia, a Zagłoba wziął się w boki i mówił dalej:

– Pan Czarniecki umyślnie nas przysłał, abyśmy się waszej dostojności w jego i całego wojska imieniu pokłonili, a zarazem donieśli o znacznej wiktorii, jaką nam Bóg nad Kannebergiem odnieść pozwolił.

– Słyszeliśmy już tu o tym – odrzekł dość sucho marszałek, w którym już poruszyła się zazdrość – ale chętnie z ust naocznego świadka jeszcze raz posłyszemy.

Usłyszawszy to, pan Zagłoba rozpoczął zaraz opowiadać, jeno z niektórymi zmianami, bo siły Kanneberga spotężniały w jego ustach do dwóch tysięcy ludzi. Nie zapomniał też wspomnieć o Swenonie, o sobie, o tym, jak na oczach królewskich resztę rajtarów¹²⁰ tuż nad rzeką wycięto, jak wozy i trzystu ludzi

[przypis edytorski]

¹²⁰ *rajtar* – średniozbrojny żołnierz konny, posługujący się w walce głównie bronią palną. [przypis edytorski]

gwardii wpadło w ręce szczęśliwych zwycięzców, słowem, wiktoria urosła w opowiadaniu do rozmiarów niepowetowanej dla Szwedów klęski.

Słuchali wszyscy pilnie, słuchał i pan marszałek, ale posępniał coraz bardziej i oblicze ścinało mu się jakoby lodem, wreszcie rzekł:

– Nie neguję, że pan Czarniecki znamienity wojennik, ale przecie sam wszystkich Szwedów nie zje i dla innych choć na łyk zostanie.

A na to Zagłoba:

– Jaśnie wielmożny panie, to nie pan Czarniecki tę wiktorię odniósł.

– Jeno kto?

– Jeno Lubomirski!

Nastąpiła chwila powszechnego zdumienia. Pan marszałek usta otworzył, powiekami począł mrugać i patrzył na Zagłobę tak zdziwionym wzrokiem, jak gdyby chciał go spytać:

– Zali waćpanu piątej klepki nie staje?

Lecz pan Zagłoba nie dał się zbić z tropu, owszem, wargi z wielką fantazją wyduł (któren gest przejął od pana Zamoyskiego) i rzekł:

– Słyszałem, jak sam Czarniecki przed całym wojskiem mówił: „Nie nasze to szable biją, ale (powiada) imię Lubomirskiego bije, bo gdy się (powiada) zwiedzieli, że tuż, tuż nadciąga, duch w nich tak zdechł, że w każdym żołnierzu wojsko marszałkowskie widzą i jako owce pod nóż łby oddają.”

Gdyby wszystkie promienie słoneczne upadły od razu na twarz pana marszałka, twarz ta nie rozjaśniłaby się więcej.

– Jakże? – zakrzyknął – sam Czarniecki to powiadał?

– Tak jest, i wiele innych rzeczy, ale nie wiem, czy mi się godzi powtarzać, bo do konfidentów¹²¹ jeno mówił.

– Mów waść! Każde słowo pana Czarnieckiego warte, żeby je sto razy powtórzyć. Niepowszedni to człek i z dawna to mówiłem!

Zagłoba spojrział na marszałka, przymrużając jedno oko, i mruczał pod wąsami:

– Połknąłeś hak, zaraz cię tu wyciągnę.

– Co waszmość mówisz? – pytał marszałek.

– Mówię, że wojsko tak na cześć waszej dostojności wiwatowało, jakby i królowi jegomości lepiej nie wiwatowało, a w Przeworsku, gdyśmy to całą noc szarpali Szweda, co która chorągiew skoczyła, to krzyczeli: „Lubomirski! Lubomirski!”, i lepszy to skutek miało niż wszystkie „ała!” i „bij, zabij!” Jest tu świadek, pan Skrzetuski, żołnierz też nie lada, któren nigdy w życiu nie zełgał.

Marszałek spojrział mimo woli na Skrzetuskiego, a ten zaczerwienił się po uszy i począł coś mamrotać pod nosem.

Tymczasem oficerowie marszałkowscy poczęli wychwalać w głos posłów.

– Ot, politycznie postąpił sobie pan Czarniecki, tak

¹²¹ *konfident* (daw., z łac.) – tu: zaufany przyjaciel, powiernik (dziś: donosiciel).
[przypis edytorski]

grzecznych kawalerów wysyłając! Obaj najślawniejsi rycerze, a jednemu miód po prostu z gęby płynie!

– Zawszem to rozumiał o panu Czarnieckim, że mi życzliwy, ale teraz nie masz takiej rzeczy, której bym dla niego nie uczynił! – zakrzyknął marszałek, którego oczy mgłą się pokrywały z rozkoszy.

Na to Zagłoba wpadł w zapał:

– Jaśnie wielmożny panie! Kto by cię nie uwielbiał, kto by cię nie czcił, wzorze wszystkich cnót obywatelskich, który Arystydesa sprawiedliwością, męstwem Scypionów przypominasz! Siłam¹²² ksiąg w życiu przeczytał, siłam widział, siłam rozważał, i rozdarła mi się dusza od boleści, bo cóżem w tej Rzeczypospolitej ujrzał! Oto Opalińskich, Radziejowskich, Radziwiłłów, którzy własną pychę, własną ambicję nad wszystko ceniąc, ojczyzny dla prywaty gotowi byli każdego momentu odstąpić. Wiecem pomyślał: zginęła ta Rzeczpospolita niecnotą własnych synów! Lecz któż mnie pocieszył, kto mi otuchy w strapieniu dodał? – pan Czarniecki! „Zaiste – mówił – nie zginęła, skoro powstał w niej Lubomirski. Tamci o sobie (powiada) myślą, ten tylko patrzy, tylko szuka, gdzie by ofiarę z prywaty na ołtarzu powszechnym mógł złożyć; tamci się wysuwają, ten się usuwa, bo przykładem chce świecić. Ot i teraz (powiada) nadciąga z wojskiem potężnym i zwycięskim, a już (powiada) słyszę, że chce mnie komendę nad nim zdawać, aby nauczyć innych, jako ambicję, choćby słuszną, mają dla ojczyzny

¹²² *siła* (daw.) – dużo, wiele. [przypis edytorski]

poświęcać. Jedźcie tedy (powiada) do niego, oznajmijcie mu, że ja tej ofiary nie chcę, nie przyjmę, gdyż on lepszym ode mnie wodzem, gdyż, zresztą, jego nie tylko wodzem, ale – daj Bóg naszemu Kazimierzowi długie życie – królem gotowiśmy obrać! ... i... obierzemy!!”

Tu pan Zagłoba sam się nieco przeląkł, czyli miary nie przebrał, i istotnie, po okrzyku: „obierzemy!”, nastąpiła cisza; lecz przed magnatem tylko się niebo otworzyło, zrazu przybladł nieco, następnie pokraśniał, następnie znów przybladł i robiąc silnie pierściami, odrzekł po chwili milczenia:

– Rzeczpospolita jest i zostanie zawsze panią swej woli, bo na tym starodawne fundamenta naszych wolności spoczywają... Lecz jam jeno sługa jej sług i Bóg mi świadkiem, że nie podnoszę oczu na one wysokości, na które obywatel spoglądać nie powinien... Co do komendy nad wojskiem... pan Czarniecki przyjąć ją musi. Oto właśnie pragnę dać przykład tym, którzy wielkość swego rodu ustawnie na myśli mając, nie chcą żadnej zwierzchności uznawać, jak *pro publico bono*¹²³ należy o wielkości swego rodu zapomnieć. Więc choć i tak złym wodzem może nie jestem, jednakże ja, Lubomirski, idę dobrowolnie pod komendę Czarnieckiego, o to tylko Boga prosząc, aby nam wiktoryę nad nieprzyjacielem spuścić raczył!

– Rzymianinie! ojczyzno! – krzyknął Zagłoba, chwytając rękę marszałka i przyciskając do niej wargi.

Lecz tu jednocześnie stary wyga nastawił na Skrzetuskiego

¹²³ *pro publico bono* – dla dobra wspólnego. [przypis edytorski]

oko i poczał nim mrugać raz po raz.

Rozległy się grzmiące okrzyki oficerów i towarzystwa. Tłum w kwaterze powiększał się z każdą chwilą.

– Wina! – zawołał pan marszałek.

A gdy wniesiono kielichy, zaraz wzniosł zdrowie królewskie, potem pana Czarnieckiego, którego naszym wodzem nazwał, i wreszcie posłów. Zagłoba nie pozostał w tyle z toastami i tak wszystkich za serce chwycił, że sam marszałek za próg ich przeprowadził, zaś rycerstwo aż do rogatek Jarosławia.

Na koniec zostali sami; wówczas Zagłoba zajechał drogę Skrzetuskiemu, wstrzymał konia i chwyciwszy się w boki, rzekł:

– A co, Janie?

– Dalibóg! – odpowiedział Skrzetuski – żebym na własne oczy nie widział i na własne uszy nie słyszał, wierzyć bym nie chciał, choćby mi też i anioł powiadał.

Zaś pan Zagłoba:

– Ha? co? Przysięgnę, że sam Czarniecki co najwięcej to wzywał i prosił Lubomirskiego, by szedł z nim w parze. I wiesz, co byłby wskórał? Oto, że Lubomirski poszedłby osobno, bo jeśli w liście były zaklęcia na miłość do ojczyzny i jakoweś o prywacie wzmianki (a jestem pewien, że były), to zaraz by pan marszałek nadał się a rzekł: „Zali on chce moim *praeceptorem*¹²⁴ zostać i uczyć, jak się ojczyźnie służy?...” Znam ja ich!!... Na szczęście, stary Zagłoba wziął sprawę w ręce, pojechał i ledwie gębę otworzył, już Lubomirski nie tylko chce iść razem,

¹²⁴ *praeceptor* (z łac.) – nauczyciel. [przypis edytorski]

ale pod komendę się poddaje. Morzy się tam frasunkiem pan Czarniecki, ale ja go pocieszę... A co, Janie, umie sobie Zagłoba z magnatami rady dawać?

– Tedy powiadam, że z podziwienia pary z gęby puścić nie mogłem.

– Znam ja ich! Pokaż któremu koronę i róg gronostajowego płaszcza, to możesz go pod włos głaskać jak charcie szczenię, jeszcze ci się ugnie i sam krzyża nadstawi. Żaden kot nie będzie się tak oblizywał, choćbyś mu *prospectus*¹²⁵ z samych sperek¹²⁶ pokazał. Najpoczciwszemu oczy z poządliwości na wierzch wylizą, a trafi się szelma, jako był ksiązę wojewoda wileński, to i ojczyznę zdradzić gotów. Co to ta ludzka próżność! Panie Jezu! żebyś mi dał tyle tysięcy, iluś kandydatów do tej korony stworzył, to bym i sam kandydował... Bo jeśli który z nich myśli, że mam się za gorszego od niego, to niech mu od własnej pychy żywot¹²⁷ pęknie... Taki dobry Zagłoba jak i Lubomirski, tylko w fortunie różnica... Tak, tak, Janie... Czy myślisz, żem go naprawdę w rękę pocałował? Siebiem w wielki palec pocałował, a jego jenom nosem szturgnął... Pewno go tak, odkąd żywie¹²⁸, nikt w pole nie wywiódł. Rozsmarowałem go jako masło na grzance dla pana Czarnieckiego... Daj Boże naszemu królowi jak najdłuższe życie, ale na wypadek elekcji

¹²⁵ *prospectus* (łac.) – widok. [przypis edytorski]

¹²⁶ *spërka* – szperka, słonina. [przypis edytorski]

¹²⁷ *żywot* (daw.) – brzuch. [przypis edytorski]

¹²⁸ *żywie* – dziś popr. forma 3 os. lp cz.ter.: żyje. [przypis edytorski]

sobie wołałbym dać kreskę jak jemu... Roch Kowalski dałby mi drugą, a pan Michał oponentów by wysiekł... Boga mi, zaraz bym cię hetmanem wielkim koronnym uczynił, pana Michała po Sapieże litewskim... a Rzędziana podskarbibim... Ten by dopiero Żydowinów podatkami cisnął!... Mniejsza wreszcie z tym; grunt, żem Lubomirskiego na hak ułowił, a sznurek wsadzę Czarnieckiemu w rękę. Na kim się skrupi, na Szwedach się zmiele, a zasługa czyja? co? O kim innym kroniki by pisały, ale ja nie mam szczęścia... Dobrze jeszcze, jeśli Czarniecki na starego nie parsknie, że listu nie oddał... Taka to wdzięczność ludzka... Ha! nie pierwszyczna mi, nie pierwszyczna... Inni na starostwach siedzą i słoniną jako parsiuki¹²⁹ obrośli, a ty, stary, po dawnemu trzęś brzuszysko na szkapie...

Tu machnął ręką pan Zagłoba.

– Jechał ludzką wdzięczność sęć! I tak, i tak trzeba umierać, a przecie ojczyźnie miło posłużyć. Najlepsza nagroda dobra kompania. Jak człek raz na koń siedzie, to z takimi kompaniami, jak ty i Michał, na kraj świata jechać gotów... Taka już nasza polska natura. Byle raz na koń sięść. Niemiec, Francuz, Angielczyk albo smagły Hiszpan od razu do oczu skoczy, a Polak pacjencję¹³⁰ wrodzoną mając, siłą¹³¹ zniesie, długo się choćby takiemu Szwedzinie szarpać pozwoli, ale gdy się miara przebierze, jak huknie w pysk, to ci się taki Szwedzina trzy razy

¹²⁹ *parsiuk* (reg.) – prosię. [przypis edytorski]

¹³⁰ *pacjencja* (z łac.) – cierpliwość. [przypis edytorski]

¹³¹ *siła* (daw.) – dużo, wiele. [przypis edytorski]

nogami nakryje... Bo fantazja jeszcze jest, a póki fantazja nie zginie, poty i Rzeczpospolita trwać będzie. Zakonotuj to sobie, Janie...

I tak długo jeszcze rozprawiał pan Zagłoba, bo bardzo był rad z siebie, a ilekroć się to zdarzyło, tylekroć bywał i mowny nad zwykłą miarę, i mądrych sentencji pełen.

Rozdział VI

Czarnecki istotnie nie śmiał nawet myśleć o tym, by pan marszałek koronny poddał się pod jego komendę. Chciał tylko, by działali razem, a obawiał się, że i to z powodu wielkiej ambicji marszałka nie przyjdzie do skutku, dumny pan bowiem odzywał się już nieraz poprzednio do swych oficerów, że woli na własną rękę Szwedów podchodzić, bo i tak coś wskórać może, a gdyby razem z Czarnieckim odnieśli zwycięstwo, tedyby cała sława spłynęła na Czarnieckiego.

Jakożby tak i było. Czarniecki rozumiał marszałkowe powody i martwił się. Wysławszy z Przeworska list, odczytywał teraz po raz dziesiąty jego kopię, chcąc się przekonać, czyli nie napisał czegoś takiego, co by tak drażliwego człeka ubość mogło.

I żałował niektórych wyrażen, wreszcie począł w ogóle żałować, że list wysłał. Siedział zatem posępny w swej kwaterze, a coraz to do okna podchodził i spoglądał na drogę, czyli posłowie nie wracają. Widzieli go przez okna oficerowie i odgadywali, co się z nim dzieje, bo troska widoczna była na jego czole.

– Patrz no waść – rzekł Polanowski do Wołodyjowskiego. – Nic dobrego nie będzie, bo u kasztelana oblicze stało się pstre, a to zły znak.

Jakoż twarz Czarnieckiego nosiła liczne ślady ospy i w chwilach wielkiego wzruszenia albo niepokoju pokrywała się

białawymi i ciemnymi cętkami. Że zaś rysy miał ostre, bardzo wysokie czoło, na nim chmurne jowiszowe brwi, nos zagięty i wzrok po prostu przeszywający, więc gdy jeszcze przyszły nań owe piętna, stawał się straszny. Kozacy przezwali go swego czasu rabym¹³² psem, ale wedle słuszności więcej był do rabego orła podobny, a gdy, bywało, prowadził lud do ataku z rozwianą na kształt olbrzymich skrzydeł burką, wtedy to podobieństwo uderzało swoich i nieprzyjaciół.

Wzbudzał też strach w jednych i drugich. Za czasów kozackich wojen dowódcy potężnych watah tracili głowy, gdy przyszło im przeciw Czarnieckiemu działać. Sam Chmielnicki bał się go, a zwłaszcza jego rad, których królowi udzielał. One to sprowadziły na kozactwo straszną klęskę pod Beresteczkiem. Lecz sława jego wyrosła głównie po beresteckiej, gdy na wspólną z Tatarzy¹³³ przebiegał na kształt płomienia stepy, wygniał do cna zbuntowane roje, brał szturmem miasta, okopy, rzucając się z szybkością wichru z jednego końca Ukrainy w drugi.

Z tą samą zacieklą wytrwałością szarpał teraz Szwedów. „Czarniecki nie wybije, ale wykradnie mi wojsko” – mówił Karol Gustaw. Lecz właśnie Czarnieckiemu uprzykrzyło się już wykradać; mniemał, że przyszedł czas bić, zaś brakło mu zupełnie armat, piechoty, bez których stanowczo nie można było nic ważniejszego wskórać; dlatego tak pragnął połączyć się z Lubomirskim, który wprawdzie także małą miał ilość armat, ale

¹³² *raby* (z ukr.) – pstry, nakrapiany. [przypis edytorski]

¹³³ *z Tatarzy* – dziś popr. forma N. lm: z Tatarami. [przypis edytorski]

wiódł ze sobą piechoty, złożone z górali. Te, jakkolwiek niezbyt jeszcze wyćwiczone, były już przecie nieraz w ogniu i mogły od biedy być użyte przeciw niezrównanym pieszym zastępom Karola Gustawa.

Więc pan Czarniecki był jakby w gorączce. Nie mogąc wreszcie wytrzymać w kwaterze, wyszedł przed sień i spostrzegłszy Wołodyjowskiego z Polanowskim, spytał:

– A nie widać posłów?

– Znać, że im radzi – odrzekł Wołodyjowski.

– Im radzi, ale mnie nieradzi, bo inaczej byłby pan marszałek swoich z odpowiedzią przysłał.

– Panie kasztelanie – rzekł Polanowski, który cieszył się wielkim zaufaniem wodza – po co się troskać; przyjdzie pan marszałek, dobrze! nie, to będziem po staremu podchodzić. Ciecze i tak krew ze szwedzkiego garnka, a to wiadomo, że gdy raz garnek zacznie ciec, to i wszystko z niego ucieknie.

Na to Czarniecki:

– I z Rzeczypospolitej ciecze. Jeśli teraz ujdą, wzmocnią się, przyjdą im posiłki z Prus – sposobność minie!

To rzekłszy, uderzył się ręką po pole na znak niecierpliwości; wtem dały się słyszeć stapania końskie i basowy głos Zagłoby śpiewający:

Poszła Kaśka do piekarni,
A Stach do niej: Puść, przygarnij,
Kochana!

Bo śnieg pada i wiatr wieje,
Gdzież ja się, biedny, podzieję
Do rana!...

– Dobry znak! Wesoło wracają! – zawołał Polanowski.

Tymczasem tamci, ujrzawszy kasztelana, zeskoczyli z kulbak¹³⁴, oddali konie pacholikowi i szli żywo do ganku; nagle Zagłoba rzucił czapkę w górę i udając głos marszałka tak wybornie, że kto by go nie widział, mógłby się omylić, zakrzyknął:

– *Vivat* pan Czarniecki, nasz wódz!

Kasztelan zmarszczył się i rzekł prędko:

– Jest pismo dla mnie?

– Nie ma – odrzekł Zagłoba – jest coś lepszego. Marszałek z całym wojskiem przechodzi dobrowolnie pod komendę waszej dostojności!

Czarniecki przewiercił go wzrokiem, za czym zwrócił się do Skrzetuskiego, jakby mu chciał rzec: „Gadaj ty, bo tamten podpiał!”

Pan Zagłoba rzeczywiście był nieco podpity; lecz Skrzetuski potwierdził jego słowa, więc zdumienie odbiło się na obliczu kasztelana.

– Bywajcie za mną! – rzekł do przybyłych. – Mości Polanowski, mości Wołodyjowski, proszę także!

I wszyscy weszli do izby. Nie siedli jeszcze, gdy Czarniecki

¹³⁴ kulbaka – wysokie siodło. [przypis edytorski]

spytął:

– Co rzekł na mój list?

– Nic nie rzekł – odpowiedział Zagłoba – a dlaczego, to się w końcu mojej relacji okaże, teraz zaś *incipiam*¹³⁵....

Tu zaczął wszystko opowiadać, jak się odbyło, jako marszałka do decyzji tak pomyślnej doprowadził. Czarniecki patrzył na niego z coraz większym zdziwieniem, Polanowski za głowę się chwytał, pan Michał wąsikami ruszał.

– Tożem ja właści nie znał dotąd, jak mnie Bóg miły! – zawołał wreszcie kasztelan. – Uszom własnym nie wierzę!

– Ulissesem¹³⁶ z dawna mnie nazywano! – odrzekł skromnie Zagłoba.

– Gdzie mój list?

– Ot, jest!

– Już ci muszę darować, żeś go nie oddał. To ćwik¹³⁷ kuty na cztery nogi! Podkanclerzemu uczyć się u niego, jak układy prowadzić! Na Boga, gdybym był królem, do Carogrodu¹³⁸ bym właści wysłał...

– Już by tu sto tysięcy Turka stało! – zakrzyknął pan Michał.

A Zagłoba na to:

¹³⁵ *incipio, incipere* (łac.) – zaczynać; tu 1 os. lp cz.przysz. *incipiam*: zacznę. [przypis edytorski]

¹³⁶ *Ulysses* – Odyseusz, bohater *Iliady* i *Odysei* Homera, znany ze sprytu. [przypis edytorski]

¹³⁷ *ćwik* – zuch. [przypis edytorski]

¹³⁸ *Carogród* – stolica Imperium Osmańskiego, Konstantynopol, dziś: Stambuł. [przypis edytorski]

– Dwieście, nie sto, żebym tak zdrow był!

– W niczymże się pan marszałek nie spostrzegł? – pytał znów Czarniecki.

– On? Łykał tak wszystko, com mu do gęby wkładał, jak karmny gąsior gałki, jeno mu grzdyka grała i oczy mgłą zachodziły. Myślałem, że pęknie od radości, jako szwedzki granat. Tego człowieka do piekła pochlebstwem można by zaprowadzić.

– Byle się to na Szwedach skrupiło, byle się skrupiło, a mam nadzieję, że tak będzie! – odrzekł uradowany Czarniecki.

– Waść jesteś człek zręczny jako liszka¹³⁹, ale sobie zbytnio z pana marszałka nie dworuj, bo inny i tego by nie uczynił. Siła¹⁴⁰ od niego zależy... Aż do samego Sandomierza pójdziemy majątnościami Lubomirskich i marszałek jednym słowem może całą okolicę podnieść, chłopstwu kazać przeprawy zatrudniać, mosty palić, wiwendę¹⁴¹ po lasach kryć... Waść będziesz miał zasługę, której ci do śmierci nie zapomnę, ale i panu marszałkowi muszę dziękować, bo tak mniemam, że nie z samej próżności to uczynił.

Tu w ręce zaklaskał i krzyknął do pacholika:

– Konia mi natychmiast!... Kujmy żelazo, póki gorące.

Po czym zwrócił się do pułkowników:

– Waściowie wszyscy ze mną, żeby asysta była jako

¹³⁹ *liszka* (daw.) – lis. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ *siła* (daw.) – dużo, wiele. [przypis edytorski]

¹⁴¹ *wiwenda* (z łac.) – prowiant, żywność. [przypis edytorski]

najokazalsza.

– Czy i ja mam jechać? – pytał Zagłoba.

– Waszmość zbudowałeś ten most między mną a panem marszałkiem, słuszną, abyś pierwszy po nim przejechał. Zresztą tak myślę, że cię tam bardzo nawidzą... Jedź, jedź, panie bracie, bo inaczej powiem, że chcesz wpół poczęte dzieło porzucić.

– Trudna rada! – Muszę jeno pasa mocniej zacisnąć, bo się na nic utrzesę... Już mi i sił nie bardzo staje, chyba bym się czym pokrzepił.

– A czym by?

– Siła mi powiadano o kasztelańskim miodzie, któremu dotąd nie kosztował, a chciałbym wreszcie wiedzieć, czyli od marszałkowego lepszy?

– To się strzemiennego po kusztyczku¹⁴² napijmy, za to z powrotem nie będziem sobie z góry odmierzali. Parę gąsiorków znajdziesz też waść u siebie w kwaterze...

To rzekłszy, kazał pan kasztelan podać kielichy i wypili w miarę, na fantazję i dobry humor, po czym na konie siedli i pojechali.

Marszałek przyjął pana Czarnieckiego z otwartymi rękoma, gościł, poił, do rana nie puścił, za to rano połączyły się oba wojska i szły dalej w komendzie pana Czarnieckiego. Koło Sieniawy napadli znów na Szwedów tak skutecznie, iż tylną straż w pień wycięli i wprowadzili zamieszanie w szeregi

¹⁴² *kuszyk* a. *kulawka* – kieliszek bez nóżki, z którego trzeba wypić od razu całą zawartość. [przypis edytorski]

głównej armii. Dopiero o świtaniu spędziły ich armaty. Pod Leżajskiem jeszcze silniej nastąpił pan Czarniecki. Znaczne oddziały szwedzkie pogrzęzły w błotach, powstałych z deszczów i powodzi, i te wpadły w ręce polskie. Droga stawała się dla Szwedów coraz opłakańszą. Wycieńczone, zgłodniałe i zmorzone snem pułki ledwie maszerowały. Coraz więcej żołnierzy zostawało na drodze. Znajdowano niektórych tak straszliwie zbiedzonych, że nie chcieli już jeść i pić, prosili tylko o śmierć. Inni kładli się i umierali po kępach, inni tracili przytomność i spoglądali z największą obojętnością na zbliżających się jeźdźców polskich. Cudzoziemcy, których sporo liczyło się w szwedzkich szeregach, poczęli wymykać się z obozu i przechodzić do pana Czarnieckiego. Tylko niezłomny duch Karola Gustawa utrzymywał resztę gasnących sił w całej armii.

Bo nie tylko za armią szedł nieprzyjaciel; rozmaite partie pod nieznanymi wodzami i kupy chłopskie zabiegały jej ustawicznie drogę. Oddziały te, niesforne i niezbyt liczne, nie mogły wprawdzie uderzyć na nią wstępnym bojem, ale nużyły śmiertelnie. Że zaś chcąc wpoić w Szwedów przekonanie, iż Tatarzy przybyli już z pomocą, wszystkie polskie wojska wydawały tatarski okrzyk, więc „ała! ała!” rozlegało się dniem i nocą, bez chwili przerwy. Nie mógł żołnierz szwedzki odetchnąć, broni na moment w kozły złożyć. Nieraz kilkunastu ludzi alarmowało całą armię. Konie padały dziesiątkami i zjadano je natychmiast, bo sprowadzanie prowiantów stało się niepodobieństwem. Od czasu do czasu polscy jeźdźcy znajdowali

straszliwie poszarpane trupy szwedzkie, po których poznawali natychmiast chłopską rękę. Większa część wsi w klinie między Sanem i Wisłą należała do pana marszałka i do jego krewnych. Owóż wszyscy chłopci jak jeden mąż w nich powstałi, pan marszałek bowiem, nie żałując własnej fortuny, ogłosił, iż ten, który za oręż chwyci, z poddaństwa zostanie uwolniony. Ledwo wieść o tym rozbiegła się po ziemiach, wszystkie kosy osadzono sztorcem i poczęto co dzień znosić głowy szwedzkie do obozu, aż pan marszałek musiał tego zwyczaju, jako niechrześcijańskiego, zakazać.

Wówczas poczęto znosić rękawice i rajtarskie ostrogi. Szwedzi, przywiedzeni do desperacji, łupili ze skóry tych, którzy im w rękę wpadli, i wojna stawała się co dzień straszliwszą. Nieco wojska polskiego jeszcze trzymało się Szwedów, ale trzymano ich tylko postrachem. W drodze do Leżajska zbiegło ich wielu, pozostali wszczynali co dzień takie tumulty w obozie, iż Karol Gustaw rozkazał w samym Leżajsku rozstrzelać kilku towarzystwa. Było to hasłem ogólnej ucieczki, której dokonano z szablą w rękę. Nikt prawie nie pozostał, jeno Czarniecki, wzmocniony, począł następować coraz potężniej.

Pan marszałek pomagał mu bardzo szczerze. Być może, iż szlachetniejsze strony jego natury wzięły na ów czas, zresztą krótki, górę nad pychą i miłością własną, więc nie szczędził ni trudów, ni nawet życia, i własną osobą prowadził nieraz chorągwie, nie dał odetchnąć nieprzyjacielowi, a że był żołnierz dobry, więc znaczne położył zasługi. Te, przyłożone do

późniejszych, chwalebna by mu zapewniły pamięć w narodzie, gdyby nie ów bunt bezecny, który pod koniec swego zawodu podniósł, aby naprawie Rzeczypospolitej przeszkodzić¹⁴³.

Lecz czasu tego wszystko czynił, by chwałę zyskać, i okrył się nią jak płaszczem. Chodził z nim o lepszą pan Witowski, kasztelan sandomierski, stary i doświadczony żołnierz; ten Czarnieckiemu samemu chciał dorównać, lecz nie zdołał, bo mu Bóg wielkości odmówił.

Wszyscy trzech gnębili coraz potężniej Szwedów. Aż przyszło do tego, że te pułki piechotne i rajtarskie, którym wypadło iść tylną strażą w odwodzie, w takim szły przerażeniu, iż popłoch wszczynał się między nimi z lada powodu. Wówczas sam Karol Gustaw postanowił zawsze iść z tylną strażą, by ducha obecnością swą dodawać.

Lecz zaraz w początkach o mało życiem tego nie przypłacił. Zdarzyło się, że mając przy sobie pułk lejbgwardii¹⁴⁴, najtęższy ze wszystkich pułków, bo żołnierzy do niego z całego narodu skandynawskiego wybierano, zatrzymał się król dla odpoczynku we wsi Rudniku. Tam zjadłszy u plebana obiad, postanowił zażyć nieco spoczynku, albowiem poprzedniej nocy oka nie

¹⁴³ *bunt bezecny, który pod koniec swego zawodu podniósł, aby naprawie Rzeczypospolitej przeszkodzić* – mowa o tzw. rokoszu Lubomirskiego (1665–1666), wznieconym przez tego magnata politycznym i zbrojnym buncie szlachty przeciw dążeniom absolutystycznym Jana Kazimierza; konflikt zakończył się kompromisem: Lubomirski został wygnany, a król zrezygnował z wyznaczenia swojego następcy (tj. z elekcji *vivente rege*); w 1668 r. Jan Kazimierz abdykował. [przypis edytorski]

¹⁴⁴ *lejbgwardia* – straż przyboczna monarchy. [przypis edytorski]

zmrużył. Lejbgwardziści otoczyli dom, by nad bezpieczeństwem królewskim czuwać. Tymczasem księży pacholik od koni wymknął się chyłkiem ze wsi i dopadłszy stadninki chodzącej po grodzi, skoczył na żrebaka i popędził do pana Czarnieckiego.

Lecz pan Czarniecki znajdował się tym razem o dwie mile drogi, zaś przednia straż, złożona z pułku księcia Dymitra Wiśniowieckiego, szła pod panem porucznikiem Szandarowskim nie dalej jak pół mili za Szwedami. Pan Szandarowski rozmawiał właśnie z Rochem Kowalskim, który z rozkazami od kasztelana przyjechał, gdy nagle obaj ujrzeli nadlatującego co koń wyskoczy pacholika.

– Co to za diabeł tak pędzi? – rzekł Szandarowski – i jeszcze na żrebaku?

– Chłopak wiejski – odrzekł Kowalski.

Tymczasem pacholę przyleciało przed sam szereg i zatrzymało się dopiero wówczas, gdy żrebak, przestraszony widokiem koni i ludzi, stanął dęba i zarył kopytami w ziemię. Pacholik zeskoczył i trzymając go za grzywę, skłonił się panom rycerzom.

– A co powiesz? – spytał, zbliżywszy się, Szandarowski.

– Szwedy u nas w plebanii! Gadają, że sam król między nimi!
– rzekł pacholek z iskrzącym wzrokiem.

– A siła¹⁴⁵ ich?

– Nie będzie nad dwieście koni.

Szandarowskiemu z kolei zaświeciły się oczy; lecz bał się

¹⁴⁵ *siła* (daw.) – dużo, wiele. [przypis edytorski]

zasadzki, więc spojrział groźnie na chłopaka i rzekł:

– Kto cię przysłał?

– Co mnie kto miał przysyłać! Samem na żrebaka na grodzi skoczył, ledwom się nie zatknął i czapkę zgubił. Dobrze, że mnie, ścierwa, nie obaczyli!

Prawda biła z opalonej twarzy pacholika i ochotę miał widocznie wielką na Szwedów, bo mu policzki pały i stał przed oficerami, trzymając jedną ręką za grzywę żrebca, z rozwianym włosom, rozchełstaną koszulą na piersiach, oddychając szybko.

– A gdzie reszta szwedzkiego wojska? – spytał chorąży.

– Jeszcze o świtanu przewaliło się ich tyła, żeśmy zrachować nie mogli, ale tamci poszli dalej, a ostała jeno jazda, a jeden spi u dobrodzieja, powiadają, że król.

Na to Szandarowski:

– Chłopie, jeśli łzesz, szyja ci spadnie, ale jeśli prawdę mówisz, proś, o co chcesz.

A pacholik skłonił mu się do strzemięcia.

– Żebym tak zdrów był! Nie chcę nijakiej nagrody, jeno żeby mi wielmożny pan oficer „siablę” dać kazał.

– A dać mu tam jaką szerpentyne¹⁴⁶! – krzyknął na swoją czeladź zupełnie już przekonany Szandarowski.

Inni oficerowie poczęli wypytywać jeszcze pachotka, gdzie dwór, gdzie wieś, co robią Szwedzi, ten zaś odrzekł:

– Pilnują, psiajuchy! Kiedy byście prosto poszli, to was obaczą, ale ja was za olszyną poprowadzę.

¹⁴⁶ *szerpentyna* – szabla szlachecka. [przypis edytorski]

Wydano wnet rozkazy i chorągiew ruszyła zrazu rysią, potem w skok. Pacholek jechał oklep na swoim żrebaku bez uzdy, przed pierwszym szeregiem. Żrebaka piętami gołymi poganiał, a coraz to spoglądał promienistymi oczyma na obnażoną szerpentynę.

Gdy już wieś było widać, wykręcił w łozy i wiódł drogą, trochę grząską, ku olszynom, w których było jeszcze błotniściej; za czym zwolnili koniom.

– Cichajcie! – rzekł chłopak – jako się olszyna skończy, oni będą na prawo o ćwierć stajania¹⁴⁷.

Więc poczęli się posuwać bardzo z wolna, bo i droga była trudna, a ciężkie konie jazdy zapadały nieraz do kolan. Wreszcie olszyna poczęła rzednąć i wyjechali na brzeg.

Wówczas, nie dalej jak o trzysta kroków, ujrzeli idący nieco w górę obszerny majdan, za nim dom księży, otoczony lipami, między którymi widać było słomiane wiechetki ulów, na majdanie zaś dwustu jeźdźców w czółenkowych hełmach i pancerzach.

Olbrzymi jeźdźcy siedzieli na olbrzymich, lubo¹⁴⁸ wychudzonych, koniach i stali w gotowości, jedni z rapierami przy ramionach, drudzy z muszkietami opartymi o uda, ale patrzyli wszyscy w inną stronę, ku głównej drodze, skąd jedynie mogli się spodziewać nieprzyjaciela. Wspaniały błękitny sztandar ze złotym lwem powiewał nad ich głowami.

¹⁴⁷ *stajanie* – daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

¹⁴⁸ *lubo* (daw.) – chociaż, mimo że. [przypis edytorski]

Dalej, naokół domu, stały strażę, po dwóch ludzi; jedna z nich zwrócona była ku olszynie, ale że słońce okrutnie grało i raziło oczy, a w olszynie, która już się pokryła bujnym liściem, było prawie ciemno, więc jeźdźców polskich nie mogła owa straż dostrzec.

W Szandarowskim, kawalerze ognistym, krew poczęła kipieć jak ukrop, lecz się pohamował i czekał, póki szereg się nie uładzi; tymczasem Roch Kowalski położył swą ciężką rękę na ramieniu pacholka.

- Słuchaj, bąku! – rzekł. – A widziałeś króla?
- Widziałem, wielmożny panie – szepnęło chłopię.
- Jakże wygląda? Po czym go poznać?
- Czarny okrutnie na gębie i czerwone wstęgi przy boku nosi.
- Konia zaś jego poznałbyś?
- Koń też kary, z łysiną.

Na to Roch:

- Stajenny! pilnuj się mnie i pokaż mi go!
- Dobrze, panie! A prędko skoczym?...
- Zamknij gębę!

Tu umilkli i pan Roch modlić się począł do Najświętszej Panny, aby mu z Karolem spotkać się dozwoliła i prowadziła rękę w spotkaniu.

Chwilę jeszcze trwała cisza, wtem koń pod samym Szandarowskim parsknął okrutnie. Na to rajtar¹⁴⁹ ze straży

¹⁴⁹ *rajtar* – średniozbrojny żołnierz konny, posługujący się w walce głównie bronią palną. [przypis edytorski]

spojrzał, drgnął, jakby go coś podrzuciło w kulbace, i wypalił z pistoletu.

– Ała! ała!... Bij, morduj!... zabij!... Uha-u-bij! – rozległo się w olszynie.

I chorągiew, wypadłszy jak grom z cienia, runęła ku Szwedom.

Uderzyła w dym, nim zdążyli się wszyscy do niej czołem zwrócić, i wnet poczęła się straszna rąbanina na szable tylko i rapiery, bo strzelać nikt nie miał czasu. W mgnieniu oka zepchnięto rajtarów na płot, który zwałił się z trzaskiem pod parciem zadów końskich, i poczęto ich siec tak zapamiętale, iż stłoczyli się i zmieszali. Dwakroć próbowali się zewrzeć i dwakroć rozerwani utworzyli dwie osobne kupy, które w mgnieniu oka rozdzieliły się znowu na mniejsze, wreszcie rozsypały się jak ziarnka grochu, które chłop szuflą rzucił w powietrze. Nagle rozległy się rozpaczliwe głosy:

– Król! król! Ratujcie króla!

Karol Gustaw zaś zaraz w pierwszej chwili spotkania wypadł z pistoletami w rękę i szpadą w zębach przeze drzwi. Rajtar, który trzymał konia tuż przy drzwiach, podał mu go natychmiast, król wskoczył nań i skręciwszy koło samego węgła rzucił się między lipy i ule, by tyłem wymknąć się z koła bitwy.

Dobiegłszy do płotu wspiał konia, przesadził płot i wpadł w kupę rajtarów, broniącą się prawemu skrzydłu polskiemu, które przed chwilą właśnie okrążywszy dom, zderzyło się za ogrodem ze Szwedami.

– W konie! – krzyknął Karol Gustaw.

I obaliwszy pchnięciem szpady jeźdźca polskiego, który już wznosił nań szablę, jednym susem wydostał się z wiru bitwy; za nim rajtarowie rozerwali szereg polski i ruszyli całym pędem, jak stado jeleni, gnane przez psy, pędzi tam, gdzie je prowadzi rogacz przewodnik.

Jeźdźcy polscy zwrócili za nimi konie i rozpoczęła się gonitwa. Jedni i drudzy wypadli na główną drogę prowadzącą z Rudnika do Bojanówka. Spostrzeżono ich z przedniego dziedzińca, na którym wrzała główna bitwa, i wówczas to właśnie rozległy się głosy:

– Król! król! Ratujcie króla!

Lecz rajtarowie na przednim dziedzińcu byli już tak przyciśnięci przez samego Szandarowskiego, że i o własnym nawet ratunku myśleć nie mogli, pognął więc król w kupie nie większej nad dwunastu rajtarów, za nimi zaś pognało blisko trzydziestu towarzystwa, na czele zaś wszystkich Roch Kowalski.

Pachołek, który miał mu króla pokazać, zamieszał się gdzieś w głównej bitwie, lecz Roch i sam poznał Karola Gustawa po bukiecie z czerwonych wstąg. Za czym pomyślał, że jego chwila nadeszła, pochylił się w kulbace¹⁵⁰, ścisnął konia ostrogami i popędził jak wicher naprzód.

Uciekający, dobywając ostatnich sił z koni, rozciągnęli się po szerokiej drodze. Szybsze i lżejsze rumaki polskie poczęły ich jednak wkrótce dochodzić. Pierwszego rajtara dojechał

¹⁵⁰ *kulbaka* – wysokie siodło. [przypis edytorski]

Roch bardzo prędko, więc wstał w strzemionach dla lepszego rozmachu i ciał strasznie; rękę wraz z łopatką jednym okropnym zamachem odwalił i biegł wichrem, oczy na nowo w króla utkwivszy.

Następnie drugi rajtar zaczernił mu przed oczyma, zwałił drugiego, trzeciemu przełupał hełm i głowę na dwie połowy i rwał dalej, króla jedynie na oku mając. Wtem konie poczęły rajtarom rozpierać się i padać; chmura jeźdźców polskich doznała ich i wysiekła w mgnieniu oka.

Pan Roch pomijał już ludzi i konie, by czasu nie tracić, przestrzeń między nim a Karolem Gustawem poczęła się zmniejszać. Dwóch już tylko jeźdźców przedzielało ich na przestrzeni kilkudziesięciu kroków.

Wtem strzała, puszczone z łuku przez któregoś z towarzyszków, zaśpiewała koło ucha panu Rochowi i utkwiała w krzyżach pędzącego przed nim rajtara, a ów zakołysał się w prawo, w lewo, wreszcie wygiął się w tył, zaryczał nieludzkim głosem i spadł z kulbaki.

Miedzy Rochem a królem został już tylko jeden.

Lecz ten jeden, pragnąc widocznie ratować króla, zamiast uciekać zawrócił konia. Pan Roch dobiegł i nie tak kula armatnia znosi człowieka z kulbaki, jako on zwałił go na ziemię, po czym, wydawszy krzyk okropny, rzucił się na kształt rozjuszonego odyńca przed siebie.

Król byłby mu może stawił także czoło i zginąłby niechybnie, ale za Rochem nadlatywali inni i strzały poczęły świstać, lada

chwila która z nich mogła zranić konia, więc król ścisnął go jeszcze mocniej piętami, twarz pochylił na grzywę i rwał przed sobą przestrzeń, na kształt jaskółki ściganej przez jastrzębia.

Zaś pan Roch począł swego nie tylko ostrogami bóść, ale płazem szabli okładać, i tak pędzili jeden za drugim. Drzewa, kamienie, łoży migwały im w oczach, wiatr świstał w uszach. Kapelusze królowi spadł z głowy, rzucił wreszcie i kieskę sądząc, że nieubłagany jeździec ułakomi się na nią i pogoni zaniecha; lecz Kowalski ani na nią spojrzął i walił coraz silniej konia, który począł wreszcie stękać z wysilenia.

Pan Roch zaś widocznie zapamiętał się ze wszystkim, bo biegnąc jął krzyczeć głosem, w którym obok groźby drgała i prośba:

– Stój! na miłosierdzie boskie!

Wtem koń królewski potknął się tak silnie, że gdyby król całą siłą nie podtrzymał go cugłami, byłby upadł. Roch ryknął jak zęb, przestrzeń dzieląca go od króla zmniejszyła się znacznie.

Po chwili rumak zaplątał się drugi raz i znów, nim król ustawił go na nogach, Roch zbliżył się o kilkanaście sążni. Wówczas wyprostował się już w kulbace jak do cięcia. Straszny był... Oczy wyszły mu na wierzch, a zęby błysnęły spod rudawych wąsów... Jeszcze jedno potknięcie konia, jeszcze chwila, a losy całej Rzeczypospolitej, losy Szwecji i całej wojny byłyby rozstrzygnięte. Lecz rumak królewski znów biec począł, król zaś odwróciwszy się, błysnął lufami dwóch pistoletów i po dwakroć dał ognia.

Jedna z kul strzaskała kolano Rochowego bachmata¹⁵¹. Ten wspiął się, a następnie padł na przednie nogi i zarył nozdrzami w ziemię.

Król mógłby być w tej chwili rzucić się na swego prześladowcę i przeszyć go szpadą na wylot, lecz w odległości dwustu kroków nadlatywali inni jeźdźcy polscy, więc pochylił się na nowo w kulbace i pomknął jak strzała z tatarskiego łuku puszczonego.

Roch wydobył się spod konia. Chwilę popatrzył bezprzytomnie za uciekającym, następnie zatoczył się jak pijany, siadł na drodze i począł ryczeć jak niedźwiedź.

Król zaś coraz był dalej, dalej, dalej!... Wreszcie począł zmniejszać się, topnieć i znikł w czarnej opasce chojarów.

Wtem z krzykiem i hukaniem nadbiegli towarzysze Rocha. Było ich z piętnastu, którym dopisały konie. Jeden z nich niósł kieskę królewską, drugi kapelusz, na którym czarne strusie pióra były diamentami upięte. Ci obaj poczęli wołać:

– Twoje to, twoje, towarzyszu! Słusznie ci się to należy!

A inni:

– Wiesz, kogoś gonił? Wiesz, kogoś dojeżdżał? To był sam *Carolus*!

– Na Boga! Póki żyw, tak nie uciekał przed nikim, jak przed tobą. Chwałą niezmierną się okryłeś, kawalerze!...

– A co rajtarów przedtem nałuszczył, nim się za samym królem wysforował!

¹⁵¹ *bachmat* – koń rasy tatarskiej, niewielki, ale silny i wytrzymały, odporny na trudne warunki klimatyczne, szybki i zwinny. [przypis edytorski]

– Małość tą szablą Rzeczypospolitej w mig nie zbawił!

– Bierz kiesę!

– Bierz kapelusz!

– Zaczny był koń, ale dziesięć takich za te skarby kupisz!

Roch spoglądał na nich osłupiałymi oczyma, na koniec zerwał się i zakrzyknął:

– Jam Kowalski, a to pani Kowalska... Idźcie do wszystkich diabłów!!

– Rozum mu się pomieszał! – poczęto wołać.

– Konia mi dawajcie! Jeszcze doścignę! – wołał Roch.

Lecz oni wzięli go pod ręce i choć się rzucał, poprowadzili nazad ku Rudnikowi, uspokajając i pocieszając po drodze.

– Dałeś mu pietra! – wołali. – Na co mu to przyszło temu Wiktorowi¹⁵², temu pogromicielowi tylu państw, miast, wojsk!...

– Cha! cha! Poznał polskich kawalerów!

– Sprzykrzy mu się w Rzeczypospolitej. Ciasne nań termina przyszły!

– *Vivat* Roch Kowalski!

– *Vivat! vivat* najmeźniejszy kawaler! chluba całego wojska!

I poczęto pić z manierek. Dano i Rochowi, a on do dna jeden bukłaczek wychylił i pocieszył się zaraz znacznie.

W czasie owego pościgu za królem na bojanowskiej drodze rajtarzy przed plebanią bronili się jednak z godną tego sławnego pułku odwagą. Lubo napadnięci niespodzianie i zrazu bardzo prędko rozproszeni, równie prędko zebrali się przez to samo, że

¹⁵² Wiktor (z łac.) – zwycięzca. [przypis edytorski]

ich otoczono gęstą kupą, koło błękitnego sztandaru. Ani jeden nie poprosił o pardon, ale stanąwszy koń przy koniu, ramię przy ramieniu, bodli rapierami tak zaciekle, iż przez chwilę zwycięstwo zdawało się chylić na ich stronę. Trzeba ich było albo na nowo rozrywać, co stało się niepodobnym, gdyż naokół otaczała ich wstęga polskich jeźdźców, albo wyciąć do nogi. Uznał tę drugą myśl za lepszą Szandarowski, więc opasawszy kupę jeszcze ciaśniejszym pierścieniem, sam rzucał się na nieprzyjaciół, jak ranny krzczot¹⁵³ na stado długodziobych żurawi. Uczyniła się rzeź sroga i tłok. Szable brzęczały o rapier, rapier o furdymenta¹⁵⁴ szabel. Czasem koń wspinał się jak delfin nad morską falę i po chwili wpadał w wir mężów i koni. Krzyki ustały, rozlegał się tylko kwik koński, przeraźliwy brzęk żelaza i sapanie zdyszanych piersi rycerskich; niezwykła zaciekłość opanowała serca Polaków i Szwedów. Walczono złamkami szabel i rapierów; jedni szczepiali się z drugimi na kształt jastrzębi; chwymano się za włosy, wąsy, gryziono zębami; ci, którzy spadli z koni, a jeszcze na nogach utrzymać się mogli, żgali nożami w brzuchy końskie, w łody jeźdźców. W dymie, w wyziewach koni, w straszliwym uniesieniu bojowym ludzie zmieniali się w olbrzymów i zadawali ciosy olbrzymie; ramiona zmieniały się w maczugi, szable w błyskawice. Jednym zamachem rozbijano hełmy stalowe jak garnki, rażono się przez łby, odwalano ręce z mieczami, cięto się bez wytchnienia, cięto

¹⁵³ *krzczot* (daw.) – sokół norweski, białozór. [przypis edytorski]

¹⁵⁴ *furdymant* – osłona dłoni na rękojeści szabli. [przypis edytorski]

bez pardonu, bez miłosierdzia. Spod wiru ludzi i koni krew strumieniami poczęła spływać po majdanie.

Olbrzymi błękitny sztandar pływał jeszcze nad kołem szwedzkim, lecz kolisko zmniejszało się z każdą chwilą.

Jak gdy zniwiarze staną z dwóch stron ładu i poczną migotać sierpami, ład niknie, a oni widzą się coraz bliżej, tak pierścień polski zaciskał się coraz bardziej, tak iż walczący z jednej strony mogli już dojrzeć krzywe szable walczących po przeciwnej.

Pan Szandarowski szalał jak huragan i wżerał się w Szwedów, jako zgłodniały wilk wżera się paszczą w mięso świeżo zduszonego konia, lecz jeden jeździec go furją przewyższył, a było nim owo pachole, które pierwsze znać dało o Szwedach w Rudniku, a teraz skoczyło wraz z całą chorągwią na nieprzyjaciela. Księży żrebiec trzylatek, który dotąd chadzał spokojnie po grodzi, naciskany przez konie, nie mogąc się wyrwać ze skrzętu, rzekłbyś: wściekł się jak i pan jego; więc ze stulonymi uszama, z oczami wyszłymi na wierzch głowy, z najeżoną grzywą parł naprzód, kąsał, wierzgał, chłopak zaś szabłą, jak cepem, machał na oślep, w prawo, w lewo, od ucha; płowa czupryna spłynęła mu krwią, ostrza rapierów podziurawiły mu ramiona i uda; twarz miał pociętą, lecz owe rany podniecały go tylko. Bił się w zapamiętaniu, jak człowiek, który o własnym życiu zdesperował¹⁵⁵ i pragnie tylko pomścić śmierć swoją.

Tymczasem jednak zastęp szwedzki zmniejszał się jak kupa śniegu, którą polewają ze wszystkich stron ukropem. Wreszcie

¹⁵⁵ o własnym życiu zdesperował – stracił nadzieję, że przeżyje. [przypis edytorski]

koło królewskiego sztandaru zostało się tylko kilkunastu. Mrowie polskie pokryło ich zupełnie, a oni umierali ponuro, z zaciśniętymi zębami; żaden ręk nie wyciągnął, żaden nie zawołał o litość.

Wtem w zamęcie rozległy się głosy:

– Chorągiew brać! chorągiew!

Usłyszawszy to, pachoł żgnął sztychem żrebca i rzucił się jak płomień naprzód, gdy zaś każdy z rajtarów stojących przy sztandarze miał na sobie dwóch lub trzech jeźdźców polskich, chłopak chlasnął chorążego szablą przez głowę, a ten ręce rozkrzyżował i pochylił się twarzą na grzywę końską.

Błękitny sztandar upadł z nim razem.

Najbliższy rajtar, krzyknąwszy okropnie, chwycił natychmiast za drzewce, zaś chłopak ujął za płachtę, szarpnął, oddał w mgnieniu oka, zwinął ją w kłęb i przyciskając obu rękoma do piersi, począł wrzeszczeć wniebogłosy:

– Mam, nie dam! Mam, nie dam!

Ostatni pozostali rajtarowie rzucili się na niego z wściekłością, jeden pchnął go jeszcze przez chorągiew i przeszył mu ramię, lecz w tej chwili rozniesiono wszystkich na szablach w puch.

Za czym kilkanaście krwawych rąk wyciągnęło się ku chłopakowi.

– Chorągiew, dawaj chorągiew! – poczęto wołać.

Szandarowski poskoczył mu z pomocą.

– Zaniechać go! On wziął w moich oczach, niech ją samemu kasztelanowi odda.

– Jedzie kasztelan! jedzie! – ozwały się liczne głosy.

Jakoż z dala ozwały się wojenne krzywuły¹⁵⁶ i na drodze od strony grodzi ukazała się cała chorągiew pędząca w skok ku plebanii. Była to chorągiew laudańska; na jej czele jechał sam pan Czarniecki. Dobiegłszy, widząc, iż wszystko już skończone, wstrzymali konie; żołnierze Szandarowskiego poczęli się sypać ku nim.

Poskoczył i Szandarowski z relacją do kasztelana, tak zaś był spracowany, że z początku tchu złapać nie mógł, bo i dygotał jak w febrze, i głos urywał mu się co chwila w gardzieli.

– Sam król był... nie wiem... jeżeli uszedł...

– Uszedł! uszedł! – ozwali się ci, którzy patrzyli na gonitwę.

– Chorągiew wzięta!... Trupa moc!

Czarniecki, nie rzekłszy ni słowa, posunął się z koniem ku pobojuwisku, które okrutny i żałosny przedstawiało widok. Przeszło dwieście trupów szwedzkich i polskich leżało mostem, jeden tuż koło drugiego; często jeden na drugim... Niektórzy trzymali się za włosy, niektórzy poumierali, gryząc się wzajemnie zębami lub szarpiąc się pazurami. A znów inni dzierżyli się jakoby w braterskim objęciu lub leżeli wsparci głowami na piersiach nieprzyjaciół. Wiele twarzy było tak stratowanych, że nie pozostało w nich nic człowieczego; te zaś, których nie zdruzgotały kopyta, oczy miały otwarte, pełne przerażenia, grozy bojowej, wściekłości... Krew chlupotała w

¹⁵⁶ *krzywula* – wygięty flet, popularny w muzyce renesansowej, a dziś używany w folkowej. [przypis edytorski]

rozmięklej ziemi pod nogami kasztelańskiego konia, które wnet poczerwieniały wyżej pęcin; zapach krwi i potu końskiego drażnił nozdrza i tamował dech w piersiach.

Kasztelan patrzył, takim okiem na owe ciała ludzkie, jakim dziedzic patrzy na powiązane snopy pszeniczne mające bróg napełnić. Zadowolenie odbiło się na jego twarzy. W milczeniu objechał dokoła plebanii, popatrzył na trupy leżące z drugiej strony za sadem, za czym powrócił z wolna na główne bojowisko.

– Rzetelną tu widzę robotę – rzekł – i kontent jestem z waszmościów!

Oni zaś wyrzucili krwawymi rękoma czapki w górę:

– *Vivat Czarniecki!*

– Daj Bóg drugie prędkie spotkanie!... *Vivat!... vivat!...*

A kasztelan na to:

– Pójdziecie do tylnej straży dla wypoczynku. Mości Szandarowski, a kto wziął chorągiew?

– Dawajcie pacholka! – zakrzyknął Szandarowski – gdzie on?

Żołnierze skoczyli szukać i znaleźli pacholika siedzącego pod ścianą stajenną przy żrebcu, który padł z ran i ostatnie właśnie tchnienie wydawał. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że i chłopakowi niewiele się należy, trzymał jednak chorągiew obu rękoma i przy piersiach.

Porwano go natychmiast i przyprowadzono przed kasztelana. Stał tedy bosy, rozczochrany, z nagą piersią, z koszulą i sukmaniną w strzępach, zamazany krwią szwedzką i własną jak nieboskie stworzenie, chwiejący się na nogach, ale z ogniem

niezgaśłym jeszcze w źrenicach. Zdumiał się pan Czarniecki na jego widok.

– Jakże to? – spytał – ten zdobył królewską chorągiew?

– Własną ręką i własną krwią – odparł Szandarowski.
– On także pierwszy dał znać o Szwedach, a potem w największym ukropie tyle dokazywał, że mnie samego i wszystkich *superavit*¹⁵⁷!

– Prawda jest! Rzetelna prawda, jakoby kto spisał – zakrzyknęli towarzysze.

– Jak ci na imię? – spytał chłopaka pan Czarniecki.

– Michałko.

– Czyj jesteś?

– Księżu.

– Byłeś księżu, ale będziesz swój własny! – odrzekł kasztelan.
Lecz Michałko nie słyszał już ostatnich słów, bo z ran, z upływu krwi zachwiał się i padł głową na kasztelańskie strzemię.

– Wziąć go, dać mu wszelki starunek¹⁵⁸. Ja w tym, że na pierwszym sejmie równy on wszystkim waszmościom będzie stanem, jako duszą już dziś równy!

– Godzien tego! godzien! – zakrzyknęła szlachta.

Po czym wzięto Michałka na nosze i wniesiono do plebanii.

Zaś pan Czarniecki słuchał dalszej relacji, którą nie Szandarowski już składał, ale ci, którzy pościg pana Rocha

¹⁵⁷ *supero, superare* (łac.) – zwyciężyć, pokonać, przewyższyć; tu: 3. os. lp cz.przesz. *superavit*: przewyższył. [przypis edytorski]

¹⁵⁸ *starunek* – opieka, troskliwość; tu: leczenie, opatrzenie ran. [przypis edytorski]

za Karolem Gustawem widzieli. Okrutnie uradował się tym opowiadaniem pan Czarniecki, aż się za głowę chwytał, to znów dłońmi po kolanach uderzał, bo rozumiał, że po takim terminie znacznie musi upaść duch w Karolu.

Pan Zagłoba nie mniej się radował i biorąc się w boki, z dumą powtarzał do rycerstwa:

– Ha, zbój! co? Gdyby był *Carolusa* doścignął, sam diabeł nie potrafiłby mu go odjąć! Moja krew, jak mi Bóg miły, moja krew!

Pan Zagłoba z biegiem czasu i sam uwierzył w to święcie, że jest wujem Rocha Kowalskiego.

Tymczasem pan Czarniecki kazał szukać młodego rycerza, ale nie mogli go znaleźć, bo pan Roch ze wstydu i zmartwienia wlaźł do stodoły, zakopał się w słomę i usnął tak mocno, że dopiero nazajutrz dzień dogonił chorągiew. Ale jeszcze był bardzo strapiony i nie śmiał pokazać się wujowi na oczy. Ten wszelako sam go poszukał i pocieszać zaczął.

– Nie frasuj się, Rochu! – mówił. – Wielką i tak chwałą się okryłeś; sam słyszałem, jak cię pan kasztelan wysławiał: „Kiep (powiada) na oko, że i trzech, zda się, nie zliczy, a to, widzę, ognisty kawaler, który reputację całego wojska podniósł!”

– Pan Jezus mi nie pobłogosławił – rzekł Roch – bom się poprzedniego dnia upił i pacierzam wieczorem zaniechał!

– Jeno nie próbuj wyroków boskich dochodzić, żebyś zaś jeszcze nie pobłuźnił. Co możesz na plecy brać, to bierz, ale na rozum nie bierz, gdyż zaraz będziesz szwankował.

– Bom już był tak blisko, że mnie pot od jego konia zalatywał.

Byłbym go do kulbaki przeciął! Wuj to myśli, że ja zgoła nie mam rozumu!

Na to Zagłoba:

– Każde bydlę ma swój rozum. Setny chłop z ciebie, Rochu, pociechy mi jeszcze nieraz przysporzysz. Daj Boże, żeby twoi synowie mieli ten sam w pięści rozum!

– A nie potrzebuję! – rzekł Roch. – Ja jestem Kowalski, a to pani Kowalska...

Rozdział VII

Po rudnickich terminach poszedł król dalej w klin, między San a Wisłę, i nie przestał po staremu z tylną strażą iść, bo był nie tylko znamienitym wodzem, ale i rycerzem odwagi niezrównanej. Szli za nim pan Czarniecki, pan Witowski, pan Lubomirski¹⁵⁹ i napędzali go jako zwierza do sieci. Luźne partie hałasowały dniem i nocą nad Szwedami. Żywności było coraz mniej, wojsko coraz bardziej znużone i na duchu upadłe, zguby pewnej oczekujące.

Zaszyli się na koniec Szwedzi w sam kąt, gdzie się dwie rzeki schodzą, i odetchnęli. Tu już z jednej strony broniła ich Wisła, z drugiej San, szeroko, jako zwykle wiosną rozlany, zaś trzeci bok trójkąta umocnił król potężnymi szanćcami, na które pozaciągano działa.

Nie do zdobycia to była pozycja, jeno można w niej było z głodu umrzeć. Ale i pod tym względem lepszej nabrali Szwedzi otuchy, gdyż spodziewali się, że im z Krakowa i innych fortec nadbrzeżnych wodą komendanci spyżę¹⁶⁰ przyślą. Ot, zaraz pod bokiem był Sandomierz, w którym pułkownik Szyнкler znaczne

¹⁵⁹ *Lubomirski* – Lubomirski, Jerzy Sebastian herbu Szreniawa bez Krzyża (1616–1667), marszałek wielki koronny, później hetman polny koronny i starosta spiski; w latach 60. przywódca rokoszu, który ograniczył absolutystyczne dążenia Jana Kazimierza; zmarł na wygnaniu. [przypis edytorski]

¹⁶⁰ *spyża* – jedzenie, prowiant. [przypis edytorski]

nagromadził zapasy. Toż i wnet je nadesłał, więc jedli, pili, spali, a zbudziwszy się, śpiewali luterskie psalmy na chwałę Bogu, że ich z tak ciężkiej toni wyratował.

Lecz pan Czarniecki nowe gotował im ciosy.

Sandomierz w szwedzkim ręku mógł ciągle przychodzić w pomoc głównej armii, umyślił więc pan Czarniecki jednym zamachem odebrać miasto, zamek, a Szwedów wyciąć.

– Okrutne im sprawimy widowisko – mówił na radzie wojennej – będą patrzeć z tamtego brzegu, jako na miasto uderzym, a z pomocą przez Wisłę przyjść nie potrafią; my zaś, mając Sandomierz, żywności z Krakowa od Wirtza nie puścimy.

Pan Lubomirski, pan Witowski i inni starzy wojownicy odradzali panu Czarnieckiemu ten postępek.

– Dobrze by było – mówili – opanować tak znaczne miasto i siłą moglibyśmy Szwedom tym zaszkodzić, ale jak go wziąć? Piechoty nie mamy, armat wielkich nie mamy; trudno, by jazda na mury się dała.

Na to pan Czarniecki:

– Albo to nasi chłopci źle się na piechotę biją? Bylem takich Michałków parę tysięcy znalazł, wezmę nie tylko Sandomierz, ale i Warszawę!

I nie słuchając dłużej niczyich rad, przeprowił się przez Wisłę. Ledwie po okolicy głos poszedł, sypnęło się do niego parę tysięcy ludu, kto z kosą, kto z rusznicą, kto z muszkietem, i ruszyli pod Sandomierz.

Wpadli do miasta dość niespodzianie i po ulicach wszczęła się

rzeźba okrutna. Szwedzi bronili się zaciekle z okien, z dachów, lecz wytrzymać nawałności nie mogli. Wygnieciono ich jak robactwo po domach i wyparto całkiem z miasta. Szyнкler schronił się z resztą do zamku, lecz Polacy tymże impetem ruszyli za nimi. Rozpoczął się szturm do bram i murów. Poznał Szyнкler, że i w zamku się nie utrzyma.

Więc zgarnął, co mógł, ludzi, rzeczy, zapasów żywności i wsadziwszy na szkuty, przeprowiał się do króla, który patrzył z drugiego brzegu na klęskę swoich, nie mogąc im iść w pomoc.

Zamek wpadł w ręce polskie.

Lecz chytry Szwed, uchodząc, podsadził pod mury, po piwnicach, beczki z prochem i z zapalonymi lontami.

Zaraz, stanąwszy przed obliczem króla, powiedział mu tę wiadomość, aby mu serce rozweselić.

– Zamek w powietrze wyleci ze wszystkimi ludźmi – rzekł. – Może i sam Czarniecki zginie.

– Jeśli tak, to i ja chcę widzieć, jako pobożni Polacy do nieba lecieć będą – odrzekł król.

I pozostał ze wszystkimi generałami na miejscu.

Tymczasem, mimo zakazów Czarnieckiego, który zdradę przewidywał, wolentarze¹⁶¹ i chłopci rozbiegli się po całym zamku dla szukania ukrytych Szwedów i dla rabunku. Trąby grały larum, by kto żyw, chronił się do miasta, lecz oni nie słyszeli tych głosów lub nie chcieli na nie zważać.

¹⁶¹ *wolentarz* – ochotnik, żołnierz nieotrzymujący żołdu, walczący w imię swoich przekonań lub dla łupów wojennych. [przypis edytorski]

Nagle zatrzęsała się im ziemia pod nogami, grzmot straszny i huk targnęły powietrzem, olbrzymi słup ognia strzelił do góry, wyrzucając w powietrze ziemię, mury, dachy, cały zamek i przeszło pięćset ciał tych, którzy się cofnąć nie zdołali.

Karol Gustaw w boki się wziął z radości, a usłudźni dworacy wnet zaczęli powtarzać jego słowa.

– Do nieba idą Polacy! do nieba! do nieba!

Lecz przedwczesna to była radość, bo niemniej Sandomierz został w ręku polskim i nie mógł już zaopatrywać w żywność głównej armii, zamkniętej w kącie rzeczonym.

Pan Czarniecki rozbił obóz naprzeciw Szwedów, po drugiej stronie Wisły, i pilnował przeprawy.

Zaś pan Sapieha, hetman wielki litewski i wojewoda wileński, nadciągnął z Litwinami z drugiej strony i położył się za Sanem.

Obsaczono tedy Szwedów zupełnie; chwycono ich jakoby w kleszcze.

– Potrzask zapadł! – mówili między sobą żołnierze w polskich obozach.

Każdy bowiem, najmniej nawet ze sztuką wojenną obznajmiony, rozumiał, że zguba wisi nad najeźdźnikami nieuchronna, chybaży nadeszły na czas posiłki i wyrwały ich toni.

Rozumieli to i Szwedzi; co rano oficerowie i żołnierze przychodząc nad brzeg Wisły, spoglądali z rozpaczą w oczach i w sercu na czerniejące po drugiej stronie zastępy groźnej jazdy Czarnieckiego.

Następnie szli nad San, tam znów wojska pana Sapieżyńskiego czuwały dzień i noc, gotowe przyjąć ich szablą i muszkietem.

O przeprawie bądź przez San, bądź przez Wisłę, póki oba wojska stały w pobliżu, nie było co i myśleć. Mogliby chyba Szwedzi wracać do Jarosławia tą samą drogą, którą przyszli, ale to wiedzieli, że w takim razie ani jeden z nich nie zobaczyłby już Szwecji.

Poczęły więc im płynąć ciężkie dni, cięższe jeszcze, bo swarliwe i pełne hałasów, noce... Żywność znowu się kończyła.

Tymczasem pan Czarniecki, zostawiwszy komendę nad wojskiem panu Lubomirskiemu i wzięwszy laudańską chorągiew dla asysty, przeprowił się przez Wisłę powyżej ujścia Sanu, aby się z panem Sapiehą zobaczyć i o dalszej wojnie z nim naradzić.

Tym razem nie potrzeba było pośrednictwa Zagłoby, aby dwóch wodzów do siebie dopasować, obaj bowiem miłowali ojczyznę więcej niż każdy¹⁶² siebie samego, obaj byli gotowi dla niej poświęcić prywatę, miłość własną i ambicję.

Hetman litewski nie zazdrościł Czarnieckiemu, Czarniecki również hetmanowi, owszem, obaj się wielbili wzajemnie, toteż spotkanie między nimi było takie, że aż najstarszym żołnierzom lży stały w oczach.

– Rośnie Rzeczpospolita, raduje się miła ojczyzna, gdy tacy jej synowie w ramiona się biorą – mówił do Wołodyjowskiego i do Skrzetuskich Zagłoba. – Czarniecki straszny wojennik i szczerą duszą, ale i Sapia do rany przyłóż, to się zgoi. Bodaj się

¹⁶² *każden* – dziś popr.: każdy. [przypis edytorski]

tacy na kamieniu rodzili. Oto skóra by na Szwedach spierzchła, żeby owe afekta największych ludzi widzieć mogli. Czymże to oni nas bowiem zawojowali, jeżeli nie niezgodą a zawiścią panów. Zali¹⁶³ siłą nas zmagli, co? Ot, takich rozumiem! Dusza w człeku skacze na widok takiego spotkania. Ręczę też wam i za to, że nie będzie suche, bo Sapio okrutnie uczyty lubi, a już z takim konfidentem¹⁶⁴ chętnie sobie cugłów popuści.

– Bóg łaskaw! zło mija! Bóg łaskaw! – mówił Jan Skrzetuski.

– Obacz, abyś nie bluźnił! – odrzekł mu na to Zagłoba – każde zło musi minąć, bo gdyby wiecznie trwało, to byłby dowód, że diabeł rządzi światem, nie zaś Pan Jezus, który miłosierdzie ma nieprzebrane.

Dalszą rozmowę przerwał im widok Babinicza, którego wyniosłą postać ujrzeli z dala ponad falą głów innych. Pan Wołodyjowski i Zagłoba poczęli zaraz kiwać na niego, lecz on tak zapatrzony był w pana Czarnieckiego, że ich zrazu nie zauważył.

– Patrzcie – rzekł Zagłoba – jako się chłop zmizerował!

– Nie musiał wiele wskórać przeciw księciu Bogusławowi – odpowiedział Wołodyjowski – inaczej byłby weselszy.

– I pewno, że nie wskórał. Wiadomo, że Bogusław pod Malborkiem, razem ze Szeimbokiem, przeciw fortecy czyni¹⁶⁵.

¹⁶³ *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

¹⁶⁴ *konfident* (daw., z łac.) – tu: zaufany przyjaciel, ktoś, na kim można polegać (dziś: donosiciel). [przypis edytorski]

¹⁶⁵ *czynić* – tu: walczyć. [przypis edytorski]

– W Bogu nadzieja, że nic nie sprawią!

Na to pan Zagłoba:

– Choćby też i Malborg wzięli, my tymczasem *Carolum Gustavum captivabimus*¹⁶⁶; obaczym, czy fortecy za króla nie oddadzą.

– Patrzcie! Babinicz idzie już do nas! – przerwał Skrzetuski.

On zaś istotnie, dostrzegłszy ich, począł odsuwać tłum na obie strony i dążyć ku nim, kiwając im czapką i uśmiechając się z daleka. Przywitali się jak dobrzy znajomi i przyjaciele.

– Co słysząc? Cóżżeś, panie kawalerze, uczynił z księciem? – pytał Zagłoba.

– Źle słysząc, źle! Ale nie pora o tym powiadać. Teraz do stołów zasiądziemy. Waszmościowie zostaniecie tu na noc; chodźcież do mnie po uczcie na nocleg, między moich Tatarów. Szałas mam wygodny, to sobie przy kielichach pogawędzimy do rana.

– Jak tylko ktoś mądrze mówi, nie ja się przeciwie! – odparł Zagłoba. – Powiedz nam jeno, od czegoś tak wymizerniał?

– Bo mnie w bitwie razem z koniem obalił i rozbił ten piekielnik, jako gliniany garnek, że jeno od tej pory żywą krwią pluwać i przyjść do siebie nie mogę. W miłosierdziu Pana naszego Chrystusa nadzieja, że jeszcze krew z niego wytoczę. Ale teraz chodźmy, bo już pan Sapieha z panem Czarnieckim poczynają sobie świadczyć i o pierwszy krok się ceremoniować.

¹⁶⁶ *Carolum Gustavum captivabimus* (łac.) – pojmyśmy Karola Gustawa. [przypis edytorski]

Znak to, że stoły gotowe. Z wielkim sercem tu na was czekamy, boście też juchy szwedzkiej dość rozlali.

– Niech inni mówią, jakem dokazywał! – rzekł Zagłoba – mnie nie wypada!

Wtem całe tłumy ruszyły się i poszli wszyscy na majdan między namioty, na którym zastawione były stoły. Pan Sapieha wystąpił na cześć pana Czarnieckiego jak król. Stół, przy którym posadzono kasztelana, był szwedzkimi chorągwiami nakryty. Miody i wina lały się ze stągiew, aż obaj wodzowie podchmielili sobie nieco pod koniec. Nie brakło wesołości, żartów, wiwatów, gwaru, aż lubo¹⁶⁷ pogoda była cudna i słońce nad podziw dogrzewało, chłód wieczorny spędził wreszcie uczujących.

Wówczas Kmicic zabrał swoich gości między Tatarów. Siedli tedy w jego namiocie na łubach¹⁶⁸, obficie wszelkiego rodzaju zdobyczą wypchanych, i gwarzyć poczęli o Kmicicowej wyprawie.

– Bogusław teraz jest pod Malborgiem – mówił pan Andrzej – a inni powiadają, że u elektora, z którym razem na odsiecz królowi ma ciągnąć.

– To lepiej! to się spotkamy! Wy, młodzi, nie umiecie sobie z nim poradzić, obaczmy, jak sobie stary da rady! Z różnymi się spotykał, ale z Zagłobą jeszcze nie. Powiadam, że się spotkamy, chyba mu książę Janusz w testamencie zalecił, żeby Zagłobę z dala omijał. Może to być!

¹⁶⁷ *lubo* (daw.) – chociaż, mimo że. [przypis edytorski]

¹⁶⁸ *łuby* – kosze, bagaże. [przypis edytorski]

– Elektor chytry człek – rzekł Jan Skrzetuski – i niech tylko ujrzy, że z Carolusem źle, wnet będzie wszystkie obietnice i przysięgi relaksował.

– A ja wam mówię, że nie – rzekł Zagłoba. – Nikt nie jest na nas bardziej zawzięty jako Prusak. Gdy twój sługa, który cię pod nogi musiał podejmować i szaty twoje czyścić, panem twoim przy odmianie fortuny zostanie, to właśnie tym będzie sroższy, im byłeś mu panem łaskawszym.

– To zaś czemu? – pytał Wołodyjowski.

– Bo mu jego służebna kondycja w pamięci zostanie, i mścił się będzie za nią na tobie, choćbyś mu same dobrodziejstwa świadczył.

– Mniejsza z tym! – rzekł Wołodyjowski. – Nieraz też się zdarza, że i pies pana w rękę ukąsi. Niech nam Babinicz lepiej o swojej wyprawie powiada.

– Słuchamy! – rzekł Skrzetuski.

Kmicic, pomilczawszy chwilę, nabrał tchu i począł rozpowiadać o ostatniej wojnie Sapieżyńskiej z Bogusławem, o klęsce tego ostatniego pod Janowem, na koniec o tym, jak książę Bogusław, rozbiwszy w puch Tatarów, jego samego wraz z koniem na ziemię obalił i z życiem uszedł.

– A powiadałeś waszmość – przerwał Wołodyjowski – że go będziesz ze swymi Tatary¹⁶⁹ choćby do Bałtyku ścigał...

Na to Kmicic:

– A waszmość mnie powiadałeś także w swoim czasie, jako

¹⁶⁹ z *Tatary* – dziś popr. forma N. lm: z *Tatarami*. [przypis edytorski]

tu obecny pan Skrzetuski, gdy mu Bohun umiłowaną dziewczkę porwał, przecie i jej, i zemsty zaniechał dlatego, że ojczyzna była w potrzebie; z kim kto przestaje, takim się staje, jam zaś z waszmościami się zadał i śladem ich iść pragnę.

– Bogdaj ci tak Matka Boska nagrodziła jak Skrzetuskiemu.
– odrzekł Zagłoba. – Wszelako wołałbym, żeby twoja dziewczka była teraz w puszczy niż w Bogusławowym ręku.

– Nic to! – zakrzyknął Wołodyjowski – odzyszczesz¹⁷⁰ ją!

– Mam ja do odzyskania nie tylko jej personę¹⁷¹, ale jej estymę¹⁷² i afekt¹⁷³.

– Jedno przyjdzie za drugim – rzekł pan Michał – choćbyś osobę miał i gwałtem brać, jako to wówczas... pamiętasz?

– Tego nie uczynię więcej!

Tu począł pan Andrzej wzdychać ciężko, a po chwili rzekł:

– Nie tylko tamtej nie odzyskał, ale jeszcze i drugą Bogusław mi porwał.

– Czysty Turek! jak mi Bóg miły! – zakrzyknął Zagłoba. A pan Michał począł wypytywać:

– Jaką drugą?

– At, siła¹⁷⁴ powiadać – odrzekł Kmicic. – Była jedna dziewczka, okrutnie gładka, w Zamościu, która się panu staroście

¹⁷⁰ *odzyszczesz* – dziś popr.: odzyskasz. [przypis edytorski]

¹⁷¹ *persona* (z łac.) – osoba. [przypis edytorski]

¹⁷² *estyma* (z łac.) – szacunek, poważanie. [przypis edytorski]

¹⁷³ *afekt* (z łac.) – uczucie. [przypis edytorski]

¹⁷⁴ *siła* (daw.) – dużo, wiele. [przypis edytorski]

kałuskiemu haniebnie podobała. Ów, że siostry, księżnej Wiśniowieckiej, się boi, nie śmiał przy niej zbyt nacierać, umyślił tedy dziewczkę wysłać ze mną, niby do pana Sapiehy, po spadek na Litwie, w rzeczy zaś dlatego, by mi ją o pół mili za Zamościem odjąć i w jakiej pustce osadzić, w której by nikt zapałom jego nie mógł przeszkadzać. Alem ja zwietrzył tę intencję. „Chcesz ty ze mnie (pomyślałem) rajfura swego uczynić? – czekaj!” I ludzi mu wybatożyłem, a pannę w całej panieńskiej cnocie do pana Sapiehy odwiozłem. Mówię waćpaństwu, dziewczka krasna jako szczygieł, ale zacna... Ja też już inny człek, a moi kompanionowie! Panie, świeć nad ich duszą! dawno już popróchnieli w ziemi!

– Cóż to była za dziewczka? – spytał Zagłoba.

– Z zacnego domu, respektowa¹⁷⁵ księżnej pani Wiśniowieckiej. Niegdyś była zmówiona¹⁷⁶ z Litwinem Podbipiętą, któregoście waćpanowie znali...

– Anusia Borzobohata!!! – wrzasnął, zrywając się z miejsca, Wołodyjowski.

Zagłoba zerwał się także z kupy wojłoków.

– Panie Michale, pohamuj się!

Lecz pan Wołodyjowski skoczył jak kot ku Kmicicowi.

– Tyżeś, zdrajco, dał ją porwać Bogusławowi?!

– Nie krzywdź mnie! – rzekł Kmicic. – Odwiozłem ją

¹⁷⁵ *respektowa* – kobieta niezamężna, szlachcianka, pozostająca na utrzymaniu bogatych krewnych lub pracodawców. [przypis edytorski]

¹⁷⁶ *zmówiona* (daw.) – zaręczona. [przypis edytorski]

szczęśliwie do hetmana, staranie o niej takowe jak o siostrze mając, a Bogusław porwał ją nie mnie, ale innemu oficerowi, z którym pan Sapieha do swojej rodziny ją odesłał, a który zwał się Głównicz czy jak, dobrze nie pamiętam.

– Gdzie on jest?!

– Nie masz go tu, bo poległ. Tak przynajmniej oficerowie Sapieżyńscy powiadali. Ja osobno z Tatary Bogusława podchodziłem, więc dobrze nic nie wiem. Ale miarkując z twojej alteracji¹⁷⁷, widzę, że jednaki nas termin spotkał, jeden człek nas pokrzywdził, a skoro tak jest, to się przeciw niemu połączmy, by wspólnie krzywdy i zemsty dochodzić. Wielki on pan i wielki rycerz, a przecie myślę, że ciasno mu będzie w całej Rzeczypospolitej, gdy takich dwóch będzie miał wrogów.

– Masz moją rękę! – odrzekł Wołodyjowski. – Już my odtąd druhy na śmierć i życie! Któren¹⁷⁸ go pierwszy znajdzie, ten mu za dwóch zapłaci. Dałby Bóg mnie pierwszemu, bo że jego krew wytoczę, to jako amen w pacierzu!

Tu pan Michał począł tak okrutnie wąsikami ruszać i po szabli się macać, że pana Zagłobę aż strach wziął, wiedział bowiem, że z panem Michałem nie ma żartów.

– Nie chciałbym ja być teraz księciem Bogusławem – rzekł po chwili – choćby mi kto całe Inflanty do tytułu dodał. Dość jednego takiego żbika, jak Kmicic, mieć na sobie, a cóż dopiero

¹⁷⁷ *alteracja* (z łac.) – zmiana nastroju, wzburzenie. [przypis edytorski]

¹⁷⁸ *któren* – dziś popr. który. [przypis edytorski]

pana Michała! Ba! mało tego, bo i ja z wami *foedus*¹⁷⁹ zawieram. Moja głowa, wasze szable! Nie wiem, czyli jest potentat w chrześcijaństwie, który by przed taką potęgą nie zadrżał. Do tego i Pan Bóg prędej, później umknie mu fortuny, bo nie może być, aby na zdrajcę i heretyka kary nie było... Kmicic już mu i tak nieźle sadła za skórę zalał.

– Nie neguję, że spotkała go ode mnie niejedna konfuzja¹⁸⁰ – odrzekł pan Andrzej.

I kazawszy nalać kielichy, opowiedział, jako Sorokę z więzów uwolnił. Zamilczał tylko o tym, że pierwaj się do nóg Radziwiłłowi rzucił, bo na samo wspomnienie tej chwili krew go zalewała.

Pan Michał rozweselił się, słuchając opowiadania, a w końcu rzekł:

– Niech ci Bóg sekunduje¹⁸¹, Jędrak! Z takim rezolutem można by i do piekła iść! To tylko bieda, że nie zawsze będziem mogli razem chodzić, bo służba służbą. Mnie mogą wysłać w jedną stronę Rzeczypospolitej, ciebie w drugą. Nie wiadomo, który na niego pierwszy trafi.

Kmicic pomilczał chwilę.

– Po sprawiedliwości, ja powinien bym go dostać. Jeśli znów tylko z konfuzją nie wyjdę, bo... wstyd przyznać się, ale ja na rękę temu piekielnikowi zdzierżyć nie mogę...

¹⁷⁹ *foedus, foederis* (łac.) – przymierze, związek; por. federacja. [przypis edytorski]

¹⁸⁰ *konfuzja* (z łac.) – obraza, zawstydzenie. [przypis edytorski]

¹⁸¹ *sekundować* (z łac.) – pomagać, towarzyszyć. [przypis edytorski]

- To ja cię wszystkich moich arkanów¹⁸² wyuczę! – zawołał Wołodyjowski.
- Albo ja! – rzekł Zagłoba.
- Nie! Wybaczej waszmość, wolę u Michała się uczyć! – odparł Kmicic.
- Choć on taki rycerz, a przecież się go z panią Kowalską nie boję, byłem był wyspan! – wtrącił Roch.
- Cicho, Rochu! – odpowiedział Zagłoba – żeby cię Bóg przez jego ręce za chępliwość nie pokarał.
- O wa! Nie będzie mi nic!
- Biedny pan Roch nie był szczęśliwym prorokiem, lecz mu się okrutnie w tej chwili z czupryny kurzyło i gotów był cały świat wyzwać na rękę. Inni też pili mocno, sobie na zdrowie, Bogusławowi i Szwedom na pohybel¹⁸³.
- Słyszałem – rzekł Kmicic – iż gdy tylko tych Szwedów tu zetrzem i króla dostaniem, zaraz pod Warszawę pociągniemy. Potem pewnie będzie i wojnie koniec. Potem zaś przyjdzie na elektora kolej.
- O to! to! to! – rzekł Zagłoba.
- Słyszałem, jak sam pan Sapieha to kiedyś powiadał, a on, jako człek wielki, lepiej kalkuluje. Powiada tedy do nas: „Ze Szwedem będzie fryszt¹⁸⁴! z Septentrionami¹⁸⁵ już jest, ale

¹⁸² *arkanum* (z łac. *arcanum*) – sekret, tajemnica. [przypis edytorski]

¹⁸³ *na pohybel* (z ukr.) – na zgubę, na śmierć. [przypis edytorski]

¹⁸⁴ *fryszt* (daw., z niem.) – tu: rozejm, pokój. [przypis edytorski]

¹⁸⁵ *Septentrionowie* (z łac. *septentrio*, *septentrionis*: wielka niedźwiedzica, północ) –

z elektorem nie powinniśmy się w żadne układy bawić. Pan Czarniecki (powiada) z Lubomirskim pójdą do Brandenburgii, a ja z panem podskarbisz litewskim do Prus elektorskich, a jeżeli potem (mówi) nie przyłączymy Prus na wieki do Rzeczypospolitej, to chyba w kancelarii nie ma ani jednej takiej głowy, jak pan Zagłoba, który na własną rękę listami elektorowi groził.”

– Także Sapio powiadał? – spytał Zagłoba, czerwieniejąc z zadowolenia.

– Wszyscy to słyszeli. A jam był okrutnie rad, bo ta sama różga Bogusława wysiecze, i jeśli nie prędzej, to wówczas na pewno go dosięgniem.

– Byle z tymi Szwedami prędzej skończyć, byle skończyć! – rzekł Zagłoba. – Jechał ich sęk! Niech ustąpią Inflanty i miliony pozwolą, darujęm ich zdrowiem.

– Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! – odparł, śmiejąc się, Jan Skrzetuski. – Jeszcze *Carolus* w Polsce, jeszcze Kraków, Warszawa, Poznań i wszystkie znamienitsze miasta w jego rękę, a ojciec już chcesz, żeby się okupował. Ej, siła¹⁸⁶ się jeszcze przyjdzie napracować, nim o elektorze pomyślimy!

– A jest armia Szteinboka, a prezydya¹⁸⁷, a Wirtz! – wtrącił Stanisław.

ludzie z północy; omowne określenie Rosjan, o wojnie z którymi Sienkiewicz nie mógł w 1884 r. pisać wprost ze względu na cenzurę carską. [przypis edytorski]

¹⁸⁶ *siła* (daw.) – dużo, wiele. [przypis edytorski]

¹⁸⁷ *prezydium* (z łac. *praesidium*) – straż, zbrojna załoga. [przypis edytorski]

– To czemu tu siedzimy z założonymi rękami? – spytał nagle Roch, wytrzeszczając oczy – nie możemy to Szwedów bić?

– Głupiś, Rochu! – rzekł Zagłoba.

– Wuj zawsze jedno, a ja, jakom żyw, widziałem czółna nad brzegiem. Można by pojechać i choć straż porwać. Ciemno, choć w pysk bij; nim się opatrzą, to i wrócim, a fantazję kawalerską obu wodzom pokażem. Jak waszmościowie nie chcecie, to sam pójdę!

– Ruszyło martwe ciele ogonem, dziw nad dziwy! – rzekł z gniewem Zagłoba.

Lecz Kmicicowi poczęły zaraz nozdrza latać.

– Niezła myśl! niezła myśl! – rzekł.

– Niezła dla czeladzi, ale nie dla tego, kto powagę kocha. Ludzie, miejcie respekt dla siebie samych! Toż pułkownikami jesteście, a chcecie w drapichrustów się bawić.

– Pewnie, że nie bardzo wypada! – rzekł Wołodyjowski. – Lepiej spać pójdźmy, bo późno.

Wszyscy zgodzili się na tę myśl, więc zaraz klękli do pacierzy i poczęli je w głos odmawiać; po czym pokładli się na wojłokach i wnet usnęli snem sprawiedliwych.

Lecz w godzinę później zerwali się wszyscy na równe nogi, gdyż huk wystrzałów rozległ się za rzeką, za czym gwar, krzyki powstały w całym Sapieżyńskim obozie.

– Jezus Maria! – krzyknął Zagłoba – Szwedzi następują!

– Co waść gadasz?! – odpowiedział, chwytając szablę, Wołodyjowski.

– Rochu, bywaj! – wołał Zagłoba, któren w nagłych razach lubił mieć siostrzana¹⁸⁸ przy sobie.

Lecz Rocha nie było w namiocie.

Wybiegli więc na majdan. Tłumy już były przed namiotami i wszyscy dążyli nad rzekę; po drugiej bowiem stronie widać było błyskawice ognia i huk rozlegał się coraz większy.

– Co się stało? co się dzieje? – pytano straży porozstawianych licznie nad brzegiem.

Lecz straże nic nie widziały. Jeden z żołnierzy opowiadał, iż słyszał coś, jakby plusk fali, lecz że mgła wisiała nad wodą, więc nie mógł nic dostrzec, nie chciał zaś za byle odgłosem alarmować obozu.

Zagłoba, wysłuchawszy relacji, chwycił się za głowę z desperacji.

– Roch pojechał do Szwedów! Mówił, że straż chce porwać!

– Dla Boga! Może to być! – zawołał Kmicic.

– Ustrzelą mi chłopą, jak Bóg na niebie! – desperował dalej Zagłoba. – Mości panowie, czy nie ma żadnego ratunku? Panie Jezu! chłop jak złoto najszczerze! Nie masz takiego drugiego w obu wojskach. Co mu do głupiego łba strzeliło?!... Matko Boża, ratujże go w tej toni!...

– Może przyplynie, mgła sroga! Nie obaczą go!

– Będę tu czekał choćby do rana. Matko Boża! Matko Boża!

Tymczasem strzały po przeciwnym brzegu poczęły się uspokajać, światła gasły stopniowo i po godzinie zapanowało

¹⁸⁸ *siostrzan* (daw.) – siostrzeniec. [przypis edytorski]

głuche milczenie. Zagłoba chodził nad brzegiem rzeki jako kura, która kaczęta wodzi, i wyrywał sobie resztki włosów z czupryny, lecz próżno czekał, próżno desperował. Ranek ubielił rzekę, wreszcie słońce zeszło, a Roch nie wracał.

Rozdział VIII

Nazajutrz dzień pan Zagłoba, ciągle w desperacji trwając, udał się do pana Czarnieckiego z prośbą, aby posłał do Szwedów obaczyć, co się z Rochem przygodziło; żywli¹⁸⁹ czy w niewoli jęczy, czy też gardłem za swą śmiałość zapłacił?

Czarniecki zgodził się na to bez żadnej trudności, gdyż pana Zagłobę miłował. Pocieszając go tedy w utrapieniu, tak mówił:

– Myślę, że siostrzan¹⁹⁰ waści żyw być musi, bo inaczej woda by go wyniosła.

– Dałby Bóg! – odrzekł z żalem Zagłoba – wszelako takiego niełatwo woda wyniesie, bo nie tylko rękę miał ciężką, ale dowcip¹⁹¹ jakoby z ołowiu, co się i z jego uczynku pokazuje.

Na to Czarniecki:

– Słusznie wać mówisz! Jeśli żyw, powinien bym go kazać koniem po majdanie włóczyć za pominięcie dyscypliny. Wolno alarmować szwedzkie wojska, ale on oba zaalarmował, a i Szwedów bez komendy i mojego rozkazania nie wolno. Cóż to! pospolite ruszenie czy ki diabeł, żeby kaźden¹⁹² na własną rękę miał się rządzić!

¹⁸⁹ *żywli* (daw.) – czy jest żywy. [przypis edytorski]

¹⁹⁰ *siostrzan* (daw.) – siostrzeniec. [przypis edytorski]

¹⁹¹ *dowcip* (daw.) – rozum, inteligencja. [przypis edytorski]

¹⁹² *kaźden* – dziś popr.: każdy. [przypis edytorski]

– Zawinił, *assentior*¹⁹³. Sam go ukarzę, niechby go jeno Pan Bóg powrócił!

– Ja zaś mu przebaczę przez pamięć na rudnickie terminy. Siła¹⁹⁴ mamy jeńców do wymiany i znaczniejszych oficyjerów od Kowalskiego. Jedźże waść do Szwedów i pogadaj o wymianie. Dam dwóch i trzech w razie potrzeby, bo nie chcę waści serca krwawić. Przyjdź do mnie po pismo do króla jegomości i jedź żywo!

Zagłoba skoczył uradowany do namiotu Kmicica i opowiedział towarzyszom, co zaszło. Pan Andrzej i Wołodyjowski zakrzyknęli zaraz, że chcą z nim jechać, bo obaj ciekawi byli Szwedów, Kmicic zaś mógł być prócz tego wielce pożyteczny dlatego, iż po niemiecku tak prawie płynnie jak po polsku mógł mówić.

Przygotowania nie zabrały im wiele czasu. Pan Czarniecki, nie czekając na powrót Zagłoby, przysłał sam przez pacholika pismo, za czym wzięli trębacza, siedli w łódź z białą płachtą osadzoną na drągu i ruszyli.

Z początku jechali w milczeniu, słyszeć było tylko chrobotanie wiosł o boki łodzi, wreszcie Zagłoba począł się nieco niepokoić i rzekł:

– Niech jeno trębacz prędko nas oznajmuje, bo szelmy, mimo białej płachty, gotowi strzelać!

– Co waćpan prawisz! – odpowiedział Wołodyjowski – nawet

¹⁹³ *assentior* (łac.) – przyznaję. [przypis edytorski]

¹⁹⁴ *siła* (daw.) – dużo, wiele. [przypis edytorski]

barbarzyńcy posłów szanują, a to polityczny¹⁹⁵ naród!

– Niech trębacz trąbi, mówię! Pierwszy lepszy żołdak da ognia, przedziurawi Łódź, i pójdziem w wodę, a woda zimna! Nie chcę przez ich politykę namoknąć!

– Ot, widać strażę! – rzekł Kmicic.

Trębacz począł oznajmiać. Łódź pomknęła szybko, na drugim brzegu uczynił się zaraz ruch większy i wkrótce nadjechał konno oficer przybrany w żółty skórzany kapelusz. Ten, zbliżywszy się do samej wody, przysłonił oczy ręką i począł patrzeć pod blask.

O kilkanaście kroków od brzegu Kmicic zdjął czapkę na powitanie, oficer skłonił im się z równą grzecznością.

– Pismo od pana Czarnieckiego do najjaśniejszego króla szwedzkiego! – zawołał pan Andrzej, ukazując list.

Tymczasem Łódź przybiła.

Warta stojąca na brzegu sprezentowała broń. Pan Zagłoba uspokoił się zupełnie, wnet przybrał oblicze w powagę odpowiednią godności pośła i rzekł po łacinie:

– Zeszłej nocy kawaler pewien został pochwycon na tym brzegu, przyjechałem upomnieć się o niego.

– Nie umiem po łacinie – odrzekł oficer.

– Grubian! – mruknął Zagłoba.

Oficer zwrócił się do pana Andrzeja.

– Król jest w drugim końcu obozu – rzekł. – Zechciejcie ich mość panowie zatrzymać się tu, a ja pojedę oznajmić.

¹⁹⁵ *polityczny* (z łac. *politicus*) – tu: cywilizowany, przestrzegający prawa. [przypis edytorski]

I zawrócił konia.

Oni zaś poczęli się rozglądać. Obóz był bardzo obszerny, obejmował bowiem cały trójkąt, utworzony przez San i Wisłę. U wierzchołka trójkąta leżał Pniew; u podstawy Tarnobrzeg z jednej strony, Rozwadów z drugiej. Oczywiście, całej rozległości niepodobna było wzrokiem ogarnąć; jednak, jak okiem sięgnął, widać było szańce, okopy, roboty ziemne i faszynowe¹⁹⁶, na nich działa i ludzi. W samym środku okolicy, w Gorzycach, była kwatera królewska, tam też stały główne siły armii.

– Jeśli głód ich stąd nie wypędzi, nie damy im rady – rzekł Kmicic. – Cała ta okolica ufortyfikowana. Jest gdzie i konie popaść.

– Ale ryb dla tylu gęb nie starczy – odrzekł Zagłoba – zresztą lutrzy nie lubią postnego jadła. Niedawno mieli całą Polskę, teraz mają ten klin; niechże siedzą zdrowi albo znów do Jarosławia wracają.

– Okrutnie biegli ludzie sypali te szańczyki – rzekł Wołodyjowski, spoglądając okiem znawcy na roboty. – Rębaczow u nas jest więcej, ale uczonych oficyjerów mniej, i w sztuce wojennej zostaliśmy w tyle za innymi.

– A to czemu? – spytał Zagłoba.

– Czemu? Jako żołnierzowi, który w jeździe całe życie służył, mówić mi tego nie wypada, ale owóż temu, że wszędy piechota a armaty grunt, dopieroż one pochody a obroty wojenne, a marsze,

¹⁹⁶ *faszynowe* – z powiązanych gałęzi wikliny, służących kiedyś do uzupełniania fortyfikacji, a dziś do zabezpieczania brzegów rzek i stawów. [przypis edytorski]

a kontrmarsze. Siła¹⁹⁷ książek w cudzoziemskim wojsku człek musi zjeść, siła rzymskich autorów przewertować, nim oficerem znacniejszym zostanie, u nas zaś nic to. Po staremu jazda w dym kupą chodzi i szablami goli, a jak zrazu nie wygoli, to ją wygolą...

– Gadaj zdrów, panie Michale! a któraż nacja tyle znamienitych wiktoryj odniosła?

– Bo i inni dawniej tak samo wojowali, nie mając zaś tego impetu, musieli przegrywać; ale teraz zmądrzeli i patrz waćpan, co się dzieje.

– Poczekamy końca. Postaw mi tymczasem najmądrzejrzego inżyniera Szweda czy Niemca, a ja przeciw niemu Rocha postawię, który książkę nie wertował, i obaczym.

– Byleś go waćpan mógł postawić... – wtrącił pan Kmicic.

– Prawda, prawda! Okrutnie mi chłopca żal. Panie Andrzeju, a poszwargocz no onym psim językiem do tych pludraków i rozpytaj, co się z nim stało?

– To waćć nie znasz regularnych żołnierzy. Tu ci nikt bez rozkazu gęby nie otworzy. Szkoda gadać!

– Wiem, że szelmy nieużyte. Jak tak do naszej szlachty, a zwłaszcza do pospolitaków¹⁹⁸, poseł przyjedzie, to zaraz gadu, gadu, o zdrowie jejmości i dziełek się spytają i gorzałki się z nim piją – i w konsyderacje¹⁹⁹ polityczne poczną się wdawać, a ci

¹⁹⁷ *siła* (daw.) – dużo, wiele. [przypis edytorski]

¹⁹⁸ *pospolitak* – szlachcic, uczestnik pospolitego ruszenia. [przypis edytorski]

¹⁹⁹ *konsyderacje* (z łac.) – rozważania. [przypis edytorski]

oto stoją jak słupy i tylko ślepią na nas wybałuszają. Żeby ich sparło w ostatku!

Jakoż coraz więcej pieszych żołnierzy gromadziło się wokół posłanników, przypatrując im się ciekawie. Oni też, ile że przybrani starannie w przystojne, a nawet bogate szaty, wspaniała czynili postać. Najwięcej zwracał oczu pan Zagłoba, gdyż prawie senatorską nosił w sobie powagę, najmniej pan Michał, z przyczyny swego wzrostu.

Tymczasem oficer, który pierwszy przyjmował ich na brzegu, wrócił wraz z drugim, znaczniejszym, i z żołnierzami prowadzącymi luźne konie. Ów znaczniejszy skłonił się wysłannikom i rzekł po polsku:

– Jego królewska mość prosi waszmość panów do swej kwatery, a że to niezbyt blisko, więc przywiedliśmy konie.

– Waszmość Polak? – pytał Zagłoba.

– Nie, panie. Jestem Sadowski. Czech w służbie szwedzkiej. Kmicic zbliżył się szybko ku niemu.

– Nie poznajesz mnie waszmość pan?

Sadowski popatrzył bystro w jego oblicze.

– Jakże! pod Częstochową! Waść to największą armatę burzącą wysadził i Miller²⁰⁰ oddał waszmości Kuklinowskiemu. Witam, witam serdecznie tak znamienitego rycerza!

– A co się z Kuklinowskim dzieje? – pytał dalej Kmicic.

²⁰⁰ *Miller* – Burchard Müller von der Lühnen (1604–1670), szwedzki wojskowy, generał, uczestnik m.in. wojny trzydziestoletniej, II wojny północnej i wojny polsko-szwedzkiej. [przypis edytorski]

– To waść nie wiesz?

– Wiem, żem mu odpłacił tym samym, czym on mnie chciał gościć, alem go zostawił żywego.

– Zmarzł.

– Tak i myślałem, że zmarznie – rzekł, machnąwszy ręką, pan Andrzej.

– Mości pułkowniku! – wtrącił Zagłoba – a niejakiego Rocha Kowalskiego nie masz tu w obozie?

Sadowski rozśmiał się:

– Jakże? Jest!

– Chwała Bogu i Najświętszej Pannie! Żyw chłop, to go i wydostanę. Chwała Bogu!

– Nie wiem, czyli król zechce go oddać – odrzekł Sadowski.

– O! a czemu to?

– Bo go sobie wielce upodobał. Poznał go zaraz, że to ten sam jest, którego na niego w rudnickiej sprawie tak nastawał. Za boki braliśmy się, słuchając odpowiedzi jeńca. Pyta król: „Coś sobie do mnie upatrzył?”, a ów rzecze: „Ślubowałem!” Więc król znów: „To i dalej będziesz następował?” „A jakże!” – powiada szlachcic. Król począł się śmiać: „Wyrzec się ślubu, daruję cię zdrowiem i wolnością.” „Nie może być!” „Czemu?” „Boby mnie wuj za kpa ogłosił!” „A takżeś to ufny, żebyś na pojedynek dał mi rady?” „Ja bym i pięciu takim dał rady!” Więc król jeszcze: „I śmiesz na majestat rękę podnosić?” Ów zaś: „Bo wiara paskudna!” Tłumaczyliśmy królowi każde słowo, a on coraz był weselszy i coraz to powtarzał: „Udał mi się ten towarzysz!”

Dopieroż chcąc wiedzieć, czy go naprawdę taki osilek gonił, kazał wybrać dwunastu co najteższych chłopów między gwardią i kolejno im się z jeńcem pasować. Ale to żyłowaty jakiś kawaler! W chwili gdy odjeżdżał, dziesięciu już rozciągnął jednego po drugim, a żaden nie mógł wstać o swej mocy. Przyjedziemy właśnie na koniec tej uciechy.

– Poznaję Rocha! Moja krew! – zawołał Zagłoba. – Damy za niego choćby trzech znacznych oficerów.

– Pod dobry humor królowi traficie – odrzekł Sadowski – co teraz rzadko się zdarza.

– A wierzę – odpowiedział mały rycerz.

Tymczasem Sadowski zwrócił się do Kmicica i począł wypytywać go, jakim sposobem nie tylko się z rąk Kuklinowskiego uwolnił, ale jego samego pograżył. Ów zaczął opowiadać obszernie, bo chełpić się lubił. Sadowski zaś, słuchając, za głowę się chwytał ze zdumienia, wreszcie uściśnął jeszcze raz Kmicicową rękę i rzekł:

– Wierzaj mi waszmość pan, że z duszy rad jestem, bo choć Szwedom służę, ale każde szczere żołnierskie serce raduje się, gdy prawy kawaler szelmę pograży. Trzeba wam przyznać, że jak się między wami rezolut trafi, to ze świecą takiego *in universo*²⁰¹ szukać.

– Polityczny z waszmości pana oficer! – rzekł pan Zagłoba.

– I znamienity żołnierz, wiemy to! – dorzucił Wołodyjowski.

²⁰¹ *in universo* (łac.) – na całym świecie. [przypis edytorski]

– Bom się i polityki²⁰², i żołnierki od was uczył! – odpowiedział Sadowski, przykładając rękę do kapelusza.

Tak oni ze sobą rozmawiali, przesadzając się wzajemnie w grzecznościach, aż dojechali do Gorzyc, gdzie była kwatera królewska. Wieś cała zajęta była przez żołnierstwo różnej broni. Towarzysze nasi z ciekawością przyglądali się kupom żołnierzy, rozrzuconym między opłotkami. Jedni, chcąc nieco głód zaspać, spali po przyzbach, bo dzień był bardzo pogodny i ciepły; drudzy grali w kości na bębnach, popijając piwo, niektórzy rozwieszali odzież na płotach; inni, siedząc przed chałupami i pośpiewując skandynawskie pieśni, szorowali ceglanym proszkiem hełmy i pancerze, od których blask szedł okrutny. Gdzie indziej czyszczono lub przeprowadzano konie, słowem, życie obozowe wrzało i roiło się wszędy pod jasnym niebem. Na niektórych twarzach znać było wprawdzie trudy straszliwe i głód, ale słońce powlokło złotem nędzę, zresztą zaczęły się dla tych niezrównanych żołnierzy dni wypoczynku, więc nabrali zaraz ducha i wojennej postawy. Pan Wołodyjowski podziwiał ich w duchu, zwłaszcza piesze pułki, słynne na cały świat z wytrwałości i męstwa. Sadowski zaś, w miarę jak przejeżdżali, objaśniał:

– To smalandzki pułk gwardii królewskiej. To piechota dalekarlijska, najprzedniejsza.

– Na Boga! a to co za małe *monstra*²⁰³? – zakrzyknął nagle Zagłoba, ukazując kupę małych człowieczków z oliwkową cerą

²⁰² *polityka* (z łac.) – tu: grzeczność, uprzejmość, dobre obyczaje. [przypis edytorski]

²⁰³ *monstrum* (łac.) – potwór; tu M. lm *monstra*. [przypis edytorski]

i czarnymi, wiszącymi po obu stronach głowy włosami.

– To Lapończykowie, którzy do najdalej siedzących Hiperborejów²⁰⁴ się liczą.

– Dobrzyż do bitwy? Bo mi się widzi, że mógłbym po trzech w każdą garść wziąć i póty łbami stukać, póki bym się nie zmachał.

– Z pewnością mógłbyś waszmość to uczynić! Do bitwy oni na nic. Szwedowie ich ze sobą do posług obozowych wodzą, a w części dla osobliwości. Za to czarownicy z nich *exquisitissimi*²⁰⁵, każdy²⁰⁶ najmniej jednego diabła, a niektórzy po pięciu do usług mają.

– Skądże im taka ze złymi duchami komitywa? – pytał, żegnając się znakiem krzyża, Kmicic.

– Bo w ustawicznej nocy brodzą, która po pół roku i więcej u nich trwa, wiadomo zaś waszmościom, że w nocy najłatwiej z diablem o styczność.

– A duszę mają?

– Nie wiadomo, ale tak myślę, że *animalibus*²⁰⁷ są podobniejsi.

Kmicic posunął konia, chwycił jednego Lapończyka za kark, podniósł go jak kota do góry i obejrzał ciekawie, następnie postawił go na nogi i rzekł:

²⁰⁴ *Hiperborej* a. *Hiperborejczyk* (z gr.) – członek ludu mieszkającego na północy [przypis edytorski]

²⁰⁵ *exquisitissimus* (łac.) – wyborny, wyszukany, najlepszy; tu M. lm *exquisitissimi*: wyborni, najwyszukańsi, najlepsi. [przypis edytorski]

²⁰⁶ *każden* – dziś popr.: każdy. [przypis edytorski]

²⁰⁷ *animal*, *animalis* – zwierzę, stworzenie, potwór; tu C. lm *animalibus*: zwierzętom. [przypis edytorski]

– Żeby mi król takiego jednego podarował, kazałbym go uwędzić i w Orszy w kościele powiesić, gdzie z innych osobliwości strusie jaje się znajdują.

– A w Łubniach²⁰⁸ była u fary²⁰⁹ szczeka wielorybia alboli też wielkoluda – dodał Wołodyjowski.

– Jedźmy, bo jeszcze co paskudnego od nich się do nas przyczepi! – rzekł Zagłoba.

– Jedźmy – powtórzył Sadowski. – Prawdę mówiąc, powinien bym był kazać waściom worki na głowę założyć, jako jest zwyczaj, ale nie mamy tu co ukrywać, a żeście na szanę spoglądali, to dla nas lepiej.

Za czym ruszyli końmi i po chwili byli przed dworem gorzyckim. Przed bramą zeskoczyli z kulbak²¹⁰ i zdjawszy czapki, szli dalej piechotą, bo sam król był przed domem.

Ujrzeni tedy moc jenerałów i oficerów bardzo świetnych. Był tam stary Wittenberg²¹¹, Duglas²¹², Loewenhaupt, Miller,

²⁰⁸ *Lubnie* – miasto na Połtawszczyźnie, na śr.-wsch. Ukrainie, przed 1549 r. rezydencja książąt Wiśniowieckich, w 1655 r. znajdowało się na terytorium zajęтым przez Kozaków. [przypis edytorski]

²⁰⁹ *u fary* – w kościele parafialnym. [przypis edytorski]

²¹⁰ *kulbaka* – wysokie siodło. [przypis edytorski]

²¹¹ *Wittenberg* – Arvid (a. Arfuid) Wittenberg von Debern (1606–1657), szwedzki hrabia i feldmarszałek, uczestnik wojny trzydziestoletniej i potopu szwedzkiego. [przypis edytorski]

²¹² *Duglas* – Douglas, Robert (1611–1662), Szkot, od 16 r. życia żołnierz armii szwedzkiej, feldmarszałek, uczestnik wojny trzydziestoletniej. Podczas potopu szwedzkiego dowodził wojskami szwedzkimi w Prusach Książęcych. Za zasługi wojenne otrzymał tytuł hrabiego, a jego potomkowie stali się jednym z najbogatszych

Eriksen i wielu innych. Wszyscy siedzieli na ganku, nieco za królem, którego krzesło wysunięte było naprzód, i patrzyli na krotofilę²¹³, którą Karol Gustaw sobie z jeńcem wyprawiał. Roch rozciągnął właśnie dopiero co dwunastego rajtara i stał w porozrywany przez zapaśników kubraku, zdyszany i spocon wielce. Ujrawszy wuja w towarzystwie Kmicica i Wołodyjowskiego, rozumiał zrazu, że ich również w niewolę wzięto, więc wytrzeszczył oczy i otworzył usta, za czym postąpił parę kroków, lecz Zagłoba dał mu znak ręką, by stał spokojnie, sam zaś postąpił z towarzyszami przed oblicze królewskie.

Sadowski począł prezentować wysłanników, oni zaś kłaniali się nisko, jak obyczaj i etykieta nakazywała, następnie Zagłoba oddał pismo Czarnieckiego.

Król wziął list i począł czytać, tymczasem towarzysze przypatrywali mu się z ciekawością, bo nigdy go przedtem nie widzieli. Był to pan w kwiecie wieku, na twarzy tak smągły, jakoby się Włochem albo Hiszpanem urodził. Długie pukle czarnych jak krucze skrzydła włosów spadały mu wedle uszu aż na ramiona. Z blasku i barwy oczu przypominał Jeremiego Wiśniowieckiego, jeno brwi miał bardzo do góry podniesione, jak gdyby się dziwił ustawicznie. Natomiast w miejscu, gdzie się brwi schodzą, czoło podnosiło mu się w duże wypukłości, które czyniły go do lwa podobnym; głęboka zmarszczka nad nosem, nie schodząca nawet wówczas, gdy się śmiał, nadawała

rodów arystokratycznych Szwecji. [przypis edytorski]

²¹³ *krotofila* a. *krotochwila* (starop.) – żart. [przypis edytorski]

jego twarzy wyraz groźny i gniewny. Wargę dolną miał tak wysuniętą naprzód, jak Jan Kazimierz, jeno twarz tłustszą i większy podbródek; wąsy nosił na kształt sznureczków, nieco na końcach rozszerzonych. W ogóle oblicze jego zwiastowało nadzwyczajnego człowieka, jednego z takich, którzy chodząc po ziemi, krew z niej wyciskają. Była w nim wspaniałość i duma monarsza, i siła lwia, i lotność geniuszu, jeno, choć uśmiech łaskawy nie schodził mu nigdy z ust, nie było owej dobroci serca, która takim łagodnym światłem oświeca od wewnątrz lica, jak lampka wstawiona w środek alabastrowej urny.

Siedział tedy w fotelu ze złożonymi na krzyż nogami, których potężne łydki rysowały się wyraźnie spod czarnych pończoch, i mrugając, wedle zwyczaju, oczyma, czytał z uśmiechem list Czarnieckiego. Nagle, podniósłszy powieki, spojrzał na pana Michała i rzekł:

– Poznaję natychmiast waćpana: tyś to usiekł Kanneberga.

Wszystkie oczy zwróciły się natychmiast na Wołodyjowskiego, któren ruszył wąsikami, skłonił się i odrzekł:

– Do usług waszej królewskiej mości.

– Jaka szarża? – pytał król.

– Pułkownik chorągwi laudańskiej.

– Gdzieś dawniej służył?

– U wojewody wileńskiego.

– I opuściłeś go wraz z innymi? Zdradziłeś jego i mnie.

– Swemu królowi byłem powinien, nie waszej królewskiej mości.

Król nie odrzekł nic; wszystkie czoła zmarszczyły się, oczy poczęły świdrować w pana Michale, lecz on stał spokojnie, tylko wąsikami ruszał raz po raz.

Nagle król rzekł:

– Miło mi poznać tak znamienitego kawalera. Kanneberg uchodził między nami za niezwyciężonego w spotkaniu. Wać misz być pierwszą szablą w tym państwie?...

– *In universo*²¹⁴! – rzekł Zagłoba.

– Nie ostatnią – odpowiedział Wołodyjowski.

– Witam waściów uprzejmie. Dla pana Czarnieckiego mam prawdziwą estymę, jako dla wielkiego żołnierza, chociaż mi parol złamał, bo powinien dotąd spokojnie w Siewierzu siedzieć.

Na to Kmicic:

– Wasza królewska mość! Nie pan Czarniecki, ale generał Miller pierwszy parol złamał, Wolfowy regiment królewskiej piechoty zagarniając.

Miller postąpił krok, spojrzał w twarz Kmicicowi i począł coś szeptać do króla, któren, mrugając ciągle oczyma, słuchał dość pilnie, spoglądając na pana Andrzeja, wreszcie rzekł:

– To, widzę, wybranych kawalerów pan Czarniecki mi przysłał. Ale z dawna to wiem, że rezolutów między wami nie brak, jeno wiary w dotrzymaniu obietnic i przysiąg brakuje.

– Święte słowa waszej królewskiej mości! – rzekł Zagłoba.

– Jak to wać rozumiesz?

– Bo gdyby nie ta narodu naszego przywara, to byś, miłościwy

²¹⁴ *in universo* (łac.) – w całym świecie, w ogóle. [przypis edytorski]

panie, tu nie był!

Król znów pomilczał chwilę, jenerałowie znów zmarszczyli się na śmiałość wysłannika.

– Jan Kazimierz sam was od przysięgi uwolnił – rzekł Karol – bo was opuścił i za granicę się schronił.

– Od przysięgi jeno namiestnik Chrystusów²¹⁵ uwolnić zdolen, któren²¹⁶ w Rzymie mieszka i któren nas nie uwolnił.

– Mniejsza z tym! – rzekł król. – Ot, tym zdobyłem to królestwo (tu uderzył się po szpadzie) i tym utrzymam. Nie potrzeba mi waszych sufragiów²¹⁷ ni waszych przysiąg. Chcecie wojny, będziecie ją mieli! Tak myślę, że pan Czarniecki jeszcze o Gołębiu pamięta?

– Zapomniał po drodze z Jarosławia – odrzekł Zagłoba.

Król, zamiast się rozgniewać, rozśmiał się.

– To mu przypomnę!

– Bóg światem rządzi!

– Powiedzcie mu, niech mnie odwiedzi. Mile go przyjmę, jeno niech się śpieszy, bo jak konie odpasę, pójdę dalej.

– Wtedy my waszą królewską mość przyjmujemy! – odrzekł, kłaniając się i kładąc nieznacznie rękę na szabli, Zagłoba.

Król na to:

– Widzę, że pan Czarniecki nie tylko najlepsze szable, ale

²¹⁵ *Chrystusów* (daw.) – dziś popr. forma *M. lp n.m. przymiotnika: Chrystusowy*. [przypis edytorski]

²¹⁶ *któren* – dziś popr. *który*. [przypis edytorski]

²¹⁷ *suffragium* (łac. *suffragium*) – głos w wyborach. [przypis edytorski]

i najlepszą gębę w poselstwie przysłał. W mig waść każde pchnięcie parujesz. Szczęście, że nie na tym wojna polega, bo godnego siebie znalazłbym przeciwnika. Ale przystępuję do materii: Pisze mi pan Czarniecki, żebym owego jeńca wypuścił, dwóch mi za to w zamian znacznych oficerów ofiarując. Nie lekceważę tak moich żołnierzy, jako myślicie, i zbyt tanio ich okupywać nie chcę, byłoby to przeciw mojej i ich ambicji. Natomiast, ponieważ niczego panu Czarnieckiemu odmówić nie zdołam, przeto mu podarunek z tego kawalera zrobię.

– Miłościwy panie! – odrzekł na to Zagłoba – nie kontempt²¹⁸ oficerom szwedzkim, ale kompasję²¹⁹ dla mnie chciał pan Czarniecki okazać, bo to jest mój siostrzan²²⁰, ja zaś jestem, do usług waszej królewskiej mości, pana Czarnieckiego konsyliarzem²²¹.

– Po prawdzie – rzekł, śmiejąc się, król – nie powinien bym tego jeńca puszczać, bo przeciw mnie ślubował, chyba że się za ono beneficjum²²² ślubu swego wyrzecz.

Tu zwrócił się do stojącego przed gankiem Rocha i kiwnął ręką.

– A pójdź no tu bliżej, osiłku!

Roch przybliżył się o parę kroków i stanął wyprostowany.

²¹⁸ *kontempt* (z łac.) – obraza, pogarda, lekceważenie. [przypis edytorski]

²¹⁹ *kompasja* (z łac.) – współczucie. [przypis edytorski]

²²⁰ *siostrzan* (daw.) – siostrzeniec. [przypis edytorski]

²²¹ *konsyliarz* (z łac.) – doradca. [przypis edytorski]

²²² *beneficjum* (z łac.) – tu: dobrodziejstwo. [przypis edytorski]

– Sadowski – rzekł król – spytaj się go, czy mnie zaniecha, jeśli go puszczę?

Sadowski powtórzył królewskie pytanie.

– Nie może być! – zawołał Roch.

Król zrozumiał bez tłumacza i począł w ręce klaskać i oczyma mrugać.

– A co! a co! Jakże takiego wypuszczać? Dwunastu rajtarom karku nadkręcił, a mnie trzynastemu obiecuje! Dobrze! dobrze! Udał mi się kawaler! Czy i on jest pana Czarnieckiego konsyliarzem? W takim razie jeszcze prędzej go wypuszczę.

– Stul głowę, chłopie! – mruknął Zagłoba.

– Dość krotochwil – rzekł nagle Karol Gustaw. – Bierzcie go i miejcie jeden więcej dowód mojej klemencji²²³. Przebaczyć mogę, jako pan tego królestwa, gdy taka moja wola i łaska, ale w układy wchodzić z buntownikami nie chcę.

Tu brwi królewskie zmarszczyły się i uśmiech nagle znikł mu z oblicza.

– Kto bowiem przeciw mnie rękę podnosi, ten jest buntownikiem, gdyż jam tu prawym panem. Z miłosierdzia jeno nad wami nie karałem dotąd, jak należy, czekałem upamiętania, przyjdzie wszelako czas, że miłosierdzie się wyczerpie i pora kary nastanie. Przez waszą to swawolę i niestałość kraj ogniem płonie, przez wasze to wiarołomstwo krew się leje. Lecz mówię wam: upływają dnie ostatnie... nie chcecie słuchać napomnień, nie chcecie słuchać praw, to posłuchacie miecza a szubienicy!

²²³ *klemencja* (z łac.) – łagodność, pobłażanie. [przypis edytorski]

I błyskawice poczęły migotać w Karolowych oczach; Zagłoba popatrzył nań przez chwilę ze zdumieniem, nie mogąc zrozumieć, skąd się wzięła ta nagła burza po pogodzie, wreszcie i w nim poczęło się serce podnosić, więc skłonił się i rzekł tylko:

– Dziękujem waszej królewskiej mości.

Po czym odszedł, a za nim Kmicic, Wołodyjowski i Roch Kowalski.

– Łaskawy, łaskawy! – mówił Zagłoba – a ani się spostrzeżesz, kiedy ci ryknie w ucho jak niedźwiedź. Dobry koniec poselstwa! Inni kielichem na wsiadanego częstują, a on szubienicą! Niechże psów wieszają, nie szlachtę! Boże! Boże! jak my ciężko grzeszyli przeciw naszemu panu, który ojcem był, ojcem jest i ojcem będzie, bo jagiellońskie w nim serce! I takiego to pana zdrajcy opuścili, a poszli z zamorskimi straszdytł²²⁴ się kumać. Dobrze nam tak, bo niceśmy lepszego niewarci. Szubienicy! szubienicy! ... Samemu już ciasno, przycisnęliśmy go jako twaróg w worku, że już serwatką popuszcza, a on jeszcze mieczem i szubienicą grozi. Poczekaj! Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! Będzie wam jeszcze ciaśniej. Rochu! chciałem ci po gębie dać albo pięćdziesiąt na kobiercu, ale ci już przebaczę, za to, żeś się po kawalersku stawiał i dalej go ścigać obiecałeś. Dajże gęby, bom z ciebie rad!

– Przecie wuj rad! – odrzekł Roch.

– Szubienica a miecz! I mnie to w oczy powiedział! –

²²⁴ z *zamorskimi straszdytł* – dziś popr. forma N. lm: z *zamorskimi straszdytłami*.
[przypis edytorski]

mówił znów po chwili Zagłoba. – Macie protekcję! Wilk tak samo barana do własnych kiszek proteguje!... I kiedy to mówi? Teraz, gdy mu się już gęsia skóra na krzyżach robi. Niech sobie Lapończyków na konsyliarzy dobierze i z nimi razem diabelskiej protekcji szuka! A nas będzie Najświętsza Panna sekundowała²²⁵, jako pana Bobolę w Sandomierzu, którego prochy na drugą stronę Wisły razem z koniem przerzuciły, a dlatego mu nic. Obejrzał się, gdzie jest, i zaraz na obiad do księdza trafił. Przy takiej pomocy jeszcze my ich wszystkich, jako raki z węgierza, za szyje powyciągamy...

²²⁵ *sekundować* (z łac. *secundo, secundare*) – pomagać, towarzyszyć; ochraniać, bronić. [przypis edytorski]

Rozdział IX

Upłynęło dni kilkanaście. Król siedział ciągle w widłach rzecznych i gońców na wszystkie strony rozsyłał do fortec, do komend, w kierunku Krakowa i Warszawy, z rozkazami, by mu wszyscy z pomocą spieszyli. Sprowadzano mu też Wisłą prowianty, ile można było, ale niedostatecznie. Po upływie dni dziesięciu poczęto konie jeść, i rozpacz ogarniała króla i generałów na myśl, co będzie, gdy rajtaria od koni odpadnie i gdy armat nie będzie w co zaprząć. Zewsząd też przychodziły wieści niepocieszne. Kraj cały tak gorzał wojną, jakby go kto smołą polał i zapalił. Mniejsze komendy, mniejsze prezydia²²⁶ nie mogły spieszyć na pomoc, bo nie mogły wychylać się z miast i z miasteczek. Litwa, trzymana dotąd żelazną ręką Pontusa de la Gardie, powstała jak jeden człowiek. Wielkopolska, która poddała się najpierwsza, najpierwsza też zrzuciła jarzmo i świeciła całej Rzeczypospolitej przykładem wytrwania, zawziętości, zapału. Partie²²⁷ szlacheckie i chłopskie rzucały się tam nie tylko na stojące po wsiach załogi, ale nawet na miasta. Próżno Szwedzi mścili się straszliwie nad krajem, próżno ucinali ręce schwytanym w niewolę jeńcom, puszczały z dymem wsie, wycinali w pień osady, wznosili szubienice, sprowadzali tortury z Niemiec dla męczenia buntowników. Kto

²²⁶ *prezydium* (z łac. *praesidium*) – straż, zbrojna załoga. [przypis edytorski]

²²⁷ *partia* – tu: oddział, grupa zbrojnych. [przypis edytorski]

miał cierpieć, cierpiał, kto miał ginąć, ginał, lecz jeśli był szlachcicem, ginał z szablą, jeśli chłopem, ginał z kosą w rękę. I lała się krew szwedzka po całej Wielkopolsce, lud żył w lasach, niewiasty nawet porywały za broń; kary wywoływały tylko zemstę i tym większą zaciełość. Kulesza, Krzysztof Żegocki i wojewoda podlaski uwijali się na kształt płomieni po kraju, a prócz nich wszystkie bory pełne były partyj; pola leżały nieuprawne, głód srogi rozwielił się w kraju, lecz najbardziej skręcał wnętrze Szwedów, bo ci w miastach za bramami zamkniętymi siedzieli i nie mogli wychylać się w pole.

Aż wreszcie poczęło im braknąć tchu w piersiach.

W Mazowszu było to samo. Tam lud kurpieski²²⁸, w mrokach leśnych żyjący, wychylił się z puszczy, poprzecinał drogi, przejmował żywność i gońców. Na Podlasiu rojna drobna szlachta tysiącami ciągnęła do Sapiehy lub na Litwę. Lubelskie było w rękach konfederacji. Z Rusi dalekich szli Tatarzy, a z nimi i zmuszeni do posłuszeństwa Kozacy.

Więc wszyscy byli już pewni, że jeśli nie za tydzień, to za miesiąc, jeśli nie za miesiąc, to za dwa owe widły rzeczne, w których stał król Karol Gustaw z główną armią szwedzką, zmienia się w jedną wielką mogiłę – na sławę dla narodu, na straszną naukę dla tych, którzy by Rzeczpospolitą napadać chcieli. Przewidywano już koniec wojny, byli tacy, którzy mówili, że Karolowi jeden tylko ratunek pozostał: wykupić się i oddać Rzeczypospolitej Inflanty szwedzkie.

²²⁸ *kurpieski* – dziś popr.: kurpiowski. [przypis edytorski]

Lecz nagle polepszyły się losy Karola Gustawa i Szwedów.

Dnia 20 marca poddał się Malborg, aż dotąd na próżno przez Szeimboka oblegany. Silna i dzielna armia jego nie miała teraz nic do roboty i mogła pospieszyć na ratunek królowi.

Z drugiej strony margraf badeński, skończywszy zaciągi, z gotową siłą i nie utrudzonym jeszcze żołnierzem ruszył również ku widłom rzecznym.

Obaj posuwali się naprzód, gromiąc pomniejsze kupy powstańcze, niszcząc, paląc, mordując. Po drodze zabierali prezydja szwedzkie, ściągali pomniejsze komendy i rośli w siłę, jak rzeka rośnie tym bardziej, im więcej strumieni w siebie przyjmuje.

Więści o upadku Malborga, o Szeimbokowej armii i o pochodzie margrabiego badeńskiego doszły bardzo prędko do widłach rzecznych i strapiły serca polskie. Szeimbok był jeszcze daleko, ale margrabia badeński, idąc spiesznymi pochodami, mógł wkrótce nadejść i zmienić całą postać rzeczy pod Sandomierzem.

Złożyli tedy wodzowie polscy radę, w której wzięli udział pan Czarniecki, pan hetman litewski, Michał Radziwiłł, krajczy koronny, pan Witowski, stary doświadczony żołnierz, i pan Lubomirski²²⁹, który od pewnego czasu przykrzył sobie na Zawisłu. Na radzie owej postanowiono, iż pan Sapieha z

²²⁹ *Lubomirski* – Lubomirski, Jerzy Sebastian herbu Szreniawa bez Krzyża (1616–1667), marszałek wielki koronny, później hetman polny koronny i starosta spiski; w latach 60. przywódca rokoszu, który ograniczył absolutystyczne dążenia Jana Kazimierza; zmarł na wygnaniu. [przypis edytorski]

litewskim wojskiem pozostanie pilnować Karola, aby się z widel nie wymknął, zaś pan Czarniecki ruszy przeciw margrabiemu badeńskiemu i spotka go, jako będzie mógł najprędzej, za czym, jeżeli mu Bóg wiktoreję spuści, powróci po staremu króla oblegać.

Rozkazy odpowiednie zostały natychmiast wydane. Nazajutrz zagrały trąbki wsiadanego przez munsztuk²³⁰ tak cicho, że je ledwie usłyszano, chciał bowiem Czarniecki odejść w tajemnicy przed Szwedami. Na dawnym obozowisku położyło się zaraz kilka luźnych partyj szlacheckich i chłopskich. Ci porozpalali ogniska i huczeć poczęli, aby nieprzyjaciel myślał, iż nikt z majdanu nie wyszedł, zaś kasztelańskie chorągwie wymykały się jedna za drugą. Poszła więc naprzód laudańska, która po prawie powinna była przy panu Sapieże pozostać, ale że Czarniecki bardzo się w niej rozkochał, więc mu hetman nie chciał jej odbierać. Za laudańską poszła Wąsowiczowa, lud wyborny, przez starego żołnierza prowadzony, któremu pół wieku we krwi rozlewie zeszło; za czym poszła księcia Dymitra Wiśniowieckiego pod Szandarowskim, ta sama, która pod Rudnikiem niezmierną chwałą się okryła; za czym pana Witowskiego dragonii dwa regimenta, za czym dwie pana starosty jaworowskiego; słynny Stapkowski w jednej porucznikował; za czym kasztelańska własna, królewska pod

²³⁰ *zagrały trąbki wsiadanego przez munsztuk* – dano stłumiony sygnał do odjazdu; *munsztuk* – kielzno, element uprząży, zakładany na pysk koński i służący do kierowania szczególnie nieposłusznym wierzchowcem. [przypis edytorski]

Polanowskim i cała siła pana Lubomirskiego. Piechoty nie brano dla pośpiechu ni wozów bo komunikiem²³¹

²³¹ *iść komunikiem* (daw.) – jechać konno, wierzchem; *komunik* (daw.) – jeździec, kawalerzysta. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.